

Wakacje Gabrysi zapowiadają się fatalnie. Rodzina się przeprowadza, niebawem ma się urodzić siostra, a Gabrysię zamiast wspólnego wyjazdu z rodzicami czeka samotny pobyt w Wilczej Woli – z dziadkiem, który od śmierci babci dziwnie się zachowuje. A przecież tego lata Gabrysia ma obchodzić bardzo ważne urodziny! Czy to się może dobrze skończyć? Nie powiem – kto chce wiedzieć, niech przeczyta.

Justyna Bednarek pisze nie tylko o tym, co było później, ale także o tym, co było wcześniej, a nawet znacznie wcześniej. Wplata w wakacyjną historię Gabrysi opowieści o wydarzeniach zabawnych, wzruszających, dramatycznych. Pokazuje, jak przygody wujków, cioć i prapradziadków stają się częścią historii rodzinnej i ojczystej. Nie każdy z nas ma dziadka antykwariusza, nie każdy potrafi pisać tak jak Justyna Bednarek, ale każdy na pewno ma rodzinne historie warte tego, żeby przekazywać je dalej.

Wojciech Widłak



WNUCZKA ANTYKWARIUSZA

Justyna Bednarek

Justyna Bednarek

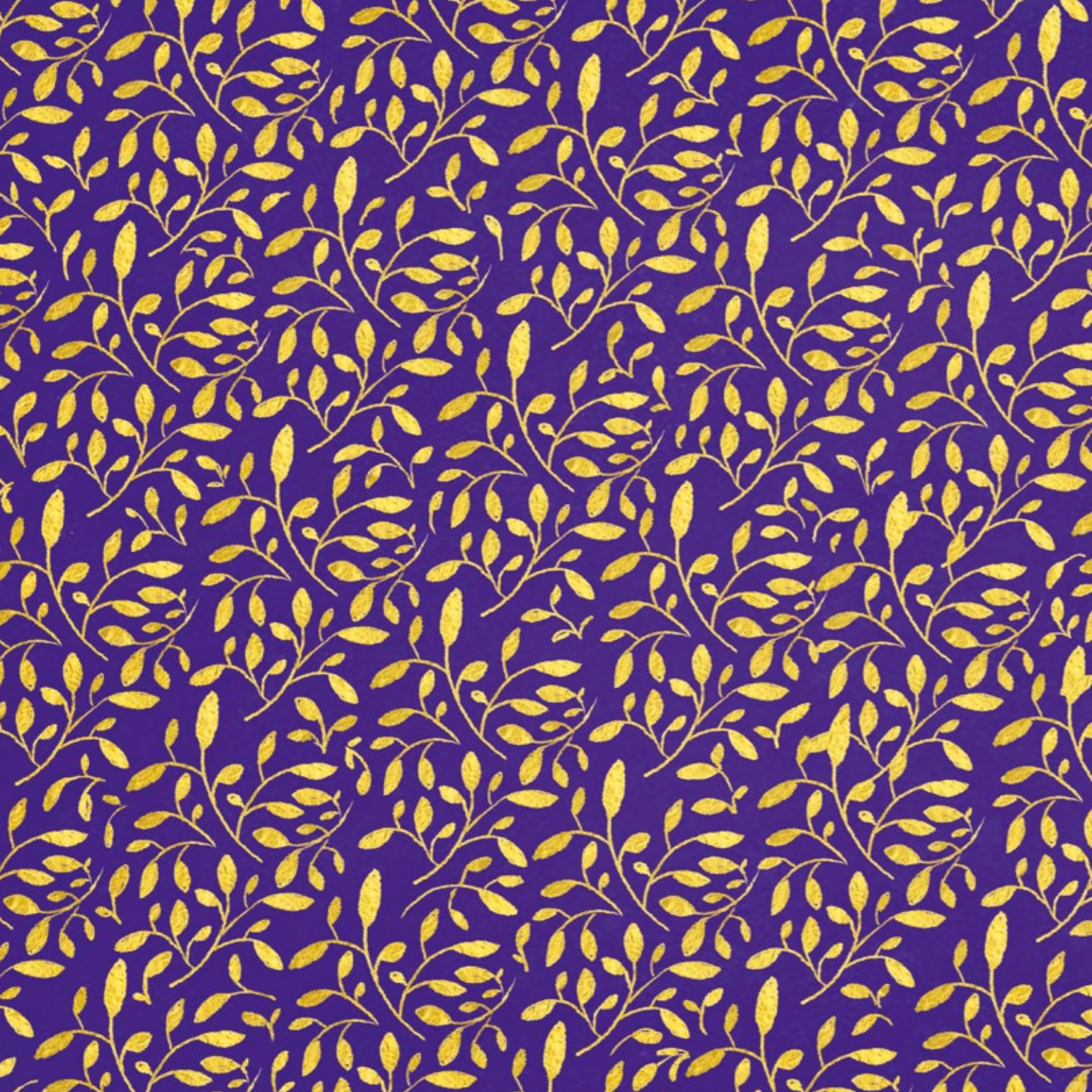
WNUCZKA ANTYKWARIUSZA



MKIDN

Zilustrowała Emilia Dziubak





WNUCZKA ANTYKWARIUSZA



Justyna Bednarek

WNUCZKA ANTYKWARIUSZA

Zilustrowała Emilia Dziubak



Drodzy Uczniowie!

Książka, którą otrzymujecie, jest dla Was zaproszeniem do odbycia niezwykłej przygody, jaką jest umiejętność rozpoznawania liter, składania ich w wyrazy i zdania. Niech niesie Wam radość czytania samodzielnego, ale też wspólnego – z Rodzicami, Dziadkami, Opiekunami.

Życzę Wam, aby przygotowana przez nas książka Justyny Bednarek „Wnuczka antykwariusza” z mistrzowskimi ilustracjami Emilii Dziubak otworzyła Wasze serca na Dobro i Piękno, które nas otaczają, wprowadziła w świat niezwykłych historii rodzinnych, rozbudziła wrażliwość na drugiego człowieka i rozwijała nigdy niekończącą się pasję, która uczy jak świat cały zobaczyć w ziarnku piasku.

Dariusz Jaworski

Dyrektor Instytutu Książki



ROZDZIAŁ PIERWSZY

Co to był za okropny dzień! Wszędzie stały pudła z setkami rzeczy. „Po co ludziom tyle gratów? – zastanawiałam się. – Jakies stare serwetki, albumy ze zdjęciami, miś z urwanym uchem, który pamięta, jak tata był bobasem... No po co to komu?!”

– Nie wiem, dlaczego ja muszę się pakować już dzisiaj, a wy nie! – zawołałam w stronę dużego pokoju.

Dwa tupnięcia nogą i trzaśnięcie drzwiami. Byłam naprawdę wściekła! I zrozpaczona. Zbliżały się moje urodziny, i to nie były które, tylko ważne! Jedenaste! Kto wie, czy nie najważniejsze w życiu, bo przecież od końca sierpnia miałam być nastolatką. Tymczasem wszystko wskazywało na to, że spędzę je w Wilczej Woli z dziadkiem Witkiem i jego porcelaną.

Tak, czułam się strasznie nieszczęśliwa i chciałam, żeby rodzice o tym wiedzieli.

– Gabrysiu, zrozum... – Tata usiadł na łóżku, na które rzuciłam się przed chwilą, i zaczął głaskać mnie po włosach. – Rozmawialiśmy już o tym. Mama musi teraz dużo odpoczywać, Kasia urodzi się lada dzień. Trzeba się pakować, załatwiać przewóz mebli. Pomożesz nam, jeżeli na ten najtrudniejszy



czas pojedziesz do dziadka. Poza tym fajniej ci będzie na świeżym powietrzu...

- Chyba sama wiem najlepiej, co jest dla mnie fajne, a co nie? - odburknęłam, wciskając nos w poduszkę. - A na pewno nie jest fajne siedzenie w Wilczej Woli! I to w urodziny!

Tata westchnął i wyszedł z pokoju. Słyszałam, że naradza się szeptem z mamą. Zamarłam w napięciu. Czekałam, aż wróci do mojego pokoju i powie: „No dobrze, skoro tak bardzo chcesz...”. Właśnie to powinno się wydarzyć. Jednak sekundy mijały i nie działo się kompletnie nic.

A jeszcze niedawno wszystko wyglądało inaczej. Byłam jedynaczką. Mama ciągle mnie zabierała na wycieczki rowerowe albo na buszowanie po szmateksach. Ciotka Ewa - początkująca projektantka mody - z tych naszych wyszperanych w używaniu ciuchów potrafiła wyczarować cuda. Z kolei z tatą piekłam tarty serowe i przemalowywałam stare meble. Bardzo to lubiałam. Wszystkie koleżanki zazdrościły mi tych kolorowych mebelków. A teraz? Nikt nie miał dla mnie czasu.

Nie chodziło o to, że nie lubię dziadka Witka. Nic z tych rzeczy! Kiedy byłam młodsza, czekałam na wszystkie wakacje, ferie, święta i weekendy, żeby w końcu móc pojechać do Wilczej Woli. Tylko że wtedy jeszcze żyła babcia Kasia. Niestety, dwa lata temu ciężko zachorowała, a gdy umarła, dziadek przestał być tym wesołym dziadkiem, który zbudował mi drewniany domek na lipie. Właściwie zachowywał się tak, jakby go wcale nie było. Najchętniej przesiadywał ze swoimi zdjęciami i różnymi rupieciami. Oglądał je przez szkło powiększające albo czyścił szmatką. A to dzbanuszek, a to stara pieczątko albo dziewiętnastowieczny komplet do pielęgnacji wąsów...

Dziadek Witek miał w Wilczej Woli antykwariat, czyli sklep ze starociami. Przyjeżdżali do niego kolekcjonerzy z całej Polski i nawet z zagranicy. A on szczególnie kochał porcelanę. Dawniej, gdy nie miał jeszcze antykwariatu, pracował w fabryce farb. Już wtedy zbieranie starych filiżanek i talerzy było jego wielką pasją.

- Bardzo, bardzo kosztowną pasją - powtarzała często moja mama. - Pewnego lata musieliśmy zrezygnować z wczasów nad morzem, bo dziadek wydał ostatnie pieniądze na drogocenną salaterkę!

- I babcia Kasia się nie złościła? - pytałam, choć znałam odpowiedź.

- Był taki szczęśliwy, że babcia nie umiała się na niego gniewać. Zresztą ja i Ewka i tak pojechałyśmy wtedy na obóz.

Uwielbiałam wakacyjne opowieści mamy z czasów jej dzieciństwa. A najbardziej przygody podczas białej nocy. Wiecie, co to jest? To ostatnia noc na obozie. Wszyscy wtedy próbują robić sobie kawały. Zabierają buty spod łóżka albo smarują kolegów pastą do zębów. Mama razem z ciocią Ewą i kilkoma koleżankami zakradły się do namiotu chłopaków i pozamieniały im plecaki.

- A największego śpiocha wyniosłyśmy razem z kanadyjką na dwór. Obudzili się dopiero, gdy zaczął padać deszcz! Potem zaklinał się co prawda, że wcale nie spał, tylko nie chciał nam psuć zabawy. Ale kto by mu wierzył - mówiła mama, a ja marzyłam, żeby pojechać na taki obóz.

- Pojedziesz, Gabi! - powtarzali rodzice.

- Kiedy? - pytałam niecierpliwie.

- Jak będziesz nastolatką.

Właśnie dlatego tak czekałam na jedenaste urodziny. Tyle się miało zmienić! Tymczasem one już nadchodziły, a ja jechałam do dziadka i jego porcelany. Chyba nikogo nie dziwi, że nie skakałam z radości?





No dobrze, nie wszystkie historie o dziadkowej porcelanie były nudne. Bardzo lubiłam opowieść o misiu: figurce, która stała na kredensie. Kiedy dziadek był małym chłopcem, należała do jego mamy, czyli mojej prababci Kseni. Ona z kolei dostała ją od swojej mamy. Dziadkowi nie wolno było się nią bawić. „Żebyś nie rozbił” – powtarzała prababcia Ksenia. No i któregoś dnia, gdy pradziadkowie poszli gdzieś z wizytą, dziadek próbował zdjąć miśka z kredensu. I... co za pech! Niechcący go upuścił, a wiadomo, że porcelana nie najlepiej znosi upadki. Niedźwiedź stracił tylną łapę.

- Byłem przerażony – zaczął opowiadać dziadek. – Czułem, że mama będzie się gniewać. Zacząłem szukać po szufladach kleju. Ale żadnego nie mogłem znaleźć. Na szczęście od małego lubiłem eksperymenty naukowe. I wiedziałem na przykład, jak domowym sposobem skleić papier czy drewno.

- No jak? – zapytałam.

- Trzeba wymieszać ocet z żelatyną i zagotować. I tak udało mi się na poczekaniu wyprodukować klej uniwersalny. Przykleiłem niedźwiedzią łapę. Postawiłem figurkę na kredensie i miałem nadzieję, że nikt niczego nie zauważy.

- I co było dalej?

- No cóż, niechcący wymazałem klejem blat stołu i przez przypadek przykleiłem do niego solniczkę. Rodzice wrócili do domu, zrobili sobie na kolację jajecznicę, a gdy chcieli ją posolić, okazało się, że solniczka przyrosła do stołu. Tata wziął mnie na spytki, więc musiałem się przyznać, że zrobiłem klej. Ale nie powiedziałem po co.

- Gniewali się?

- A skąd! – odparł ze śmiechem dziadek. – Raczej byli dumni, że umiem takie rzeczy. I wiesz, co jest najlepsze, Gabrysiu?

- No co?

- Mój klej z żelatyny trzyma do dziś. Łapa niedźwiedzia siedzi na swoim miejscu! Nawet twoja mama i ciotka jej nie urwały, chociaż ja pozwalałem im bawić się miśkiem.





Jak sami widzicie, z dziadkiem wcale nie było nudno. Tylko że dwa lata temu on bardzo się zmienił. Po śmierci babci. Z początku mama i ciotka Ewa często do niego jeździły, ale on wolał być sam. Nawet gdy zjawialiśmy się w Wilczej Woli całą rodziną, przez większość czasu siedzieliśmy w czwórkę. Bo on zamykał się w sypialni. Ze swoimi starociami i wspomnieniami. A potem zaczęła się pandemia, trzeba było siedzieć w domu, żeby nikogo nie zarazić wirusem. Dlatego przez ostatnie półtora roku widziałam dziadka tylko na Skypie.



Dom stał na niewielkim wzgórzu na samym skraju Wilczej Woli. Przez jedno z okien widać było staw, po którym pływaliśmy kiedyś łódką. Antykwariat znajdował się w dawnym domku ogrodnika. Razem z moimi rodzicami dziadkowie wyremontowali go, wstawili gablotki i regały, a babcia – gdy jeszcze miała siłę – posadziła przed wejściem piękne kwiaty.

– Mnie już nie będzie, a floksy będą was cieszyć cały czas – powtarzała.

To dzięki nim antykwariat bardziej przypominał domek wróżki niż sklepik ze starociami. Od mojej ostatniej wizyty na pierwszy rzut oka nic się nie zmieniło. Dom miał te same zielone okiennice, przed antykwariatem rosły te same białe, różowe i fioletowe kwiaty. Tylko dziadek wyglądał inaczej. Nie chodzi o to, że posiwiał czy się lekko przygarbił. Po prostu miał smutną



twarz. Dawniej, gdy przyjeżdżałam, wyskakiwałam z auta i pędziłam prosto do niego, a on otwierał ramiona i chwycił mnie w biegu. Teraz czułam się nieswojo.

- Dasz mi całusa, Gabrysiu? - spytał, gdy wysiadłam z samochodu, więc nieśmiało cmoknęłam go w nieogolony policzek.

- Cześć, tato - powiedział mój tata. - Dobrze cię wreszcie zobaczyć.

Uścisnęli sobie ręce. Coś tam poszeptali do siebie. Nie słyszałam, bo odwrócili się plecami. Potem dziadek poklepał tatę po plecach, a tata pomaszerował z powrotem do auta. Musiał szybko wracać do domu, bo wieczorem miała przyjechać ciężarówka. Po część mebli. Zostaliśmy z dziadkiem sami.

- Urosłaś, Gabrysiu - powiedział dziadek Witek, gdy już zanieśliśmy rzeczy do mojego pokoju.

Tak to właśnie jest. Ze wszystkich rzeczy, jakie można powiedzieć wnuczce, wybiera się, że „urosla”.

- A ty zmalależ! - palnęłam i od razu się speszyłam, bo to jednak nie było zbyt grzeczne.

Na szczęście dziadek parsknął śmiechem.

- No widzisz. Musi być równowaga. Jedni rosną, inni maleją.

Jakoś mnie ośmielił tym swoim śmiechem, więc powiedziałam to, co naprawdę myślałam:

- Wyglądasz inaczej niż kiedyś. Masz takie smutne oczy. I ponurą minę. Taką staruszkowatą.

Chyba specjalnie byłam niemila. Czekałam, aż się obrazi i powie: „O, tak to nie będziemy rozmawiać, moja panno!”. I zadzwoni do taty, żeby mnie zabrał z powrotem. Ale dziadek Witek westchnął i wzruszył ramionami.

- No wiesz, to też nic nadzwyczajnego. Jest czas, gdy ludzie cały czas się śmieją, i jest czas, gdy są smutni. Chyba nie muszę ci tego tłumaczyć.

Ja jednak nie ustępowałam:

- Mógłbyś się bardziej ucieszyć. Wnuczka przyjechała do ciebie na wakacje!

I dziadek zaśmiał się po raz drugi, tym razem odrobinę głośniej.

- W dodatku moja ulubiona, najmądrzejsza i najładniejsza wnuczka! - powiedział.

- Przecież nie masz innej!

- To niczego nie zmienia! I tak jesteś moją ulubioną, najmądrzejszą i najładniejszą wnuczką.

Teraz i ja zachichotałam. W jednej chwili zrobiło mi się przyjemnie. Zupełnie jak kiedyś.

- Masz dla mnie jagodzianki? - spytałam podstępnie, bo byłam pewna, że nie pamiętał.

Dawniej babcia Kasia zawsze kupowała dla mnie w cukierni „powitalne jagodzianki”, bo wiedziała, że lubię te bułki najbardziej na świecie.

- Jasne, że mam! - zawołał ku mojemu zdziwieniu dziadek i nagle zaczął wyglądać jak kiedyś, a ja pomyślałam, że może te wakacje nie będą aż tak straszne.

Właśnie zamierzałam powiedzieć mu coś miłego, gdy czyjaś twarz mignęła mi za oknem. Ktoś nas podglądał! Ale wtedy do pokoju wpadł Biskopt, stuknięty pies dziadka Witka, i musiałam go wytarosić na powitanie. Kiedy po chwili znów spojrzałam w stronę okna, nikogo tam już nie było.

ROZDZIAŁ DRUGI

Antykwariat dziadka Witka wyglądał jak jeden wielki skład porcelany. Na regałach, od podłogi do sufitu, umieszczono drogocenne zastawy stołowe, a także figurki przedstawiające ludzi i zwierzęta. Te ostatnie stały na niższych półkach, żeby można było podziwiać je z bliska.

- Mam nowe miśki z Miśni - pochwalił się dziadek.
- Ptaszki z ptaśni, a pieski z pieśni - dokończyłam ze śmiechem.

Tuż nad figurkami znajdowały się rzadkie egzemplarze chińskiej porcelany, pokryte drobnymi rysunkami, głównie kwiatów. Nieco wyżej dziadek upchnął wazony i duże półmiski. Natomiast najwyżej postawił najcenniejsze rzeczy, których nie wolno było dotykać.

- Jak ścierasz z nich kurze? - spytałam.
- Bardzo, bardzo ostrożnie - odpowiedział. - Używam specjalnej miotłki z syntetycznych strusich piór.

Kiedyś, gdy byłam młodsza, uwielbiałam patrzeć, jak babcia odkurza te wyjątkowe okazy z dziadkowej kolekcji. Mówiła, że ona robi to dużo lepiej, bo jej kochanemu mężowi wszystko leci z rąk. Widocznie po śmierci żony dziadek Witek musiał się nauczyć wielu rzeczy. Na przykład odkurzania. I ostrożności.

Zrobiło mi się smutno i dziadek chyba poczuł to samo, gdyż nagle klasnął w rękę, jakby chciał odpędzić przykre myśli.

- No, ale ja mam tu niespodziankę!

Popatrzyłam na niego zaciekawiona.

- Przygotowałem dla ciebie specjalną gablotkę, Gabrysiu - wyjaśnił, a mnie chyba nie udało się ukryć rozczarowania. Kolejna porcja staroci!

Dziadek od razu zauważył moją minę. Uniósł z powagą palec i oświadczył stanowczo:

- Owszem, to stare, zniszczone przedmioty... ale nasze, rodzinne! Zebrałem w jednym miejscu wszystkie najważniejsze pamiątki.

Potem dał mi znak, żebym poszła za nim na zaplecze. A ja otworzyłam szeroko oczy ze zdziwienia. W zwykle zagraconym pomieszczeniu panował nieskazitelny porządek. Zniszczoną, wytartą podłogę zakrywał kolorowy dywanik. Pod oknem stały dwa foteliki obite zielonym pluszem i stół na wygiętych nóżkach. Naprzeciwko okna dziadek umieścił gablotkę, w której zobaczyłam sześć starych puszek po herbacie. Wiecie, takich staroświeckich, z chińskimi znakami. Do każdej przyczepiona była karteczka z cyferką. Od jednego do sześciu, ma się rozumieć.

- Co jest w środku, dziadku?

- To właśnie niespodzianka, którą dla ciebie przygotowałem. W każdym pudełku zamknąłem kawałek czasu.

- Nie da się zamknąć czasu w pudełku - zaprotestowałam.

- Oczywiście, że nie. Czasu nie schowasz do pojemnika. Ale przedmiot, na którym czas pozostawił swoje odciski palców - już tak.

- Przedmiot to nie czas - upierałam się.



- No nie. Ale świadek czasu. Czyjegoś życia, jakichś historycznych wydarzeń. Przedmioty przypominają trochę drzewa, które mają słoje. Każdy taki słoje oznacza jeden rok życia lipy albo olchy. Po ich szerokości można poznać na przykład, czy określony rok był deszczowy, czy słoneczny. Z przedmiotami jest podobnie. Opowiadają historie. Jeśli im się uważnie przyjrzyj, przyłożysz je do ucha albo ich dotkniesz, dowiesz się niesamowitych rzeczy.

- Rozumiem. Zamknęłaś w sześciu puszkach po herbacie jakieś stare przedmioty, które opowiedzą mi historie z dawnych czasów, tak?

- Owszem. To coś w rodzaju prezentu na twoje urodziny. Jedenaste - zaznaczył.

Poczułam zniechęcenie. Przez moment dałam się nabrać. Myślałam, że dziadek naprawdę przygotował dla mnie coś fajnego. A miałam dostać na urodziny kupę zakurzonych gratów.

- No trudno - mruknęłam.

- Najlepiej otwórzmy pierwsze pudełko - powiedział niezrażony moją miną dziadek i podał mi puszkę oznaczoną cyferką jeden.



Wciąż tliła się we mnie nadzieja na to, że znajdę w puszcze coś ciekawego. Ale gdy uchyliłam wieczko, straciłam wszelkie złudzenia. W środku znajdował się tylko niewielki drewniany krzyżyk na czarnym, lekko przetartym sznureczku.

- Co to takiego?

- Krzyżyk z Olszynki.

- Aha - westchnęłam zrezygnowana.

Serio? Jaką historię mógł mi opowiedzieć stary krzyżyk?

To pytanie musiały mieć wypisane na twarzy, bo dziadek wskazał mi ręką zielony fotel, sam usiadł w drugim i po prostu zaczął opowiadać.

Historia krzyżyka z Olszynki

Każda rodzina ma swoją „starowinkę”, czyli najdawniejszego przodka, do którego sięga rodzinna pamięć. Zwykle są to pradziadek albo prababcia. Ale my mamy sporo szczęścia, bo nasza starowinka to moja praprapraciocia Marylka - siostra mojego praprapradziadka. Ty, Gabrysiu, musiałaś do tego dodać jeszcze dwa razy „pra”. Prapraprapraciocia - tak by to było w twoim przypadku.

To do niej należał ten krzyżyk, którego historia jest niestety dość smutna. Kiedy Marylka miała szesnaście lat, poznała Aleksandra, dziś byśmy powiedzieli: Olka. Bardzo się w nim zakochała, w dodatku ze wzajemnością. Taka wielka miłość od pierwszego wejrzenia czasem się ludziom zdarza. Gdyby ich losy potoczyły się inaczej, Marylka i Olek pobraliby się, mieli dom pełen śmiechu i słońca, dzieci i zwierząt. Pewnie jeździliby razem na wakacje, uprawiali ogródek. Właśnie to ich połączyło - upodobanie do roślin. Oboje mieli rękę do roślin i niemal każda ich rozmowa dotyczyła kwiatów. Ale ten dom i ten ogród nie były im pisane. Marylka i Olek żyli w czasach zaborów.

Polski nie było na mapie, jej kawałki podzieliły między siebie trzy mocarstwa. Moja praprapraciocia i jej narzeczony mieszkali w tej części, która należała do Rosji. Właśnie gdy się szykowali do wspólnego pięknego życia, wybuchło powstanie przeciwko zaborcy. Wojna.

- Zwycięzimy, odzyskamy wolność, a wtedy już zawsze będziemy szczęśliwi i założymy ogród, w którym posadzimy setki kwiatów - powiedział Olek, a Marylka pocałowała go w czoło i dała mu na pożegnanie chusteczkę z wyhaftowanymi fiołkami - takimi samymi, jakie chłopak przyniósł jej na pierwszą randkę.

Olek był bardzo dzielnym żołnierzem. Wiele razy udało mu się uniknąć śmierci. Mówił, że chroni go miłość Marylki. Ale niekiedy nawet tak potężna tarcza nie ustrzeże przed zabłąkaną kulą. Podczas bitwy pod Olszynką Grochowską - to tam, gdzie dziś jest Grochów, dzielnica Warszawy - Olek zginął.

Marylka strasznie płakała i nikt nie był w stanie jej pocieszyć. Nie była zresztą jedyną dziewczyną, która cierpiała po stracie ukochanego. Pod Olszynką zginęło wielu żołnierzy.

Kiedy odchodzi ktoś bliski, szczególnie cenimy przedmioty, które nam go przypominają. Ale Marylka nie miała niczego takiego poza zasuszo-nymi kwiatkami. Fotografie robiono wtedy jeszcze nieczęsto. Chodziła więc do lasu olchowego pod Grochowem, przytulała policzek do szarego pnia i szeptała:

- Ty, olcho, wszystko widziałaś, może słyszałaś jego ostatnie słowa...?

I zdawało jej się, że słyszy, jak liście szumią:

- Kochana Marylko...



Potem ktoś wpadł na pomysł, żeby w drewnie z Olszynki Grochowskiej wyrzeźbić małe krzyżyki, które można by nosić na łańcuszku albo sznurczku. Na pamiątkę.

Marylka także dostała krzyżyk. Nigdy się z nim nie rozstawała. Wreszcie, kiedy wielki smutek minął, postanowiła, że sama założy ogród. Taki, w którym mogłyby się bawić wszystkie dzieci z jej rodziny. Coraz więcej czasu poświęcała też roślinom. Czytała książki przyrodnicze, znała na pamięć łacińskie nazwy kwiatów, hodowała coraz rzadsze i piękniejsze odmiany. Gdy na świat przychodziły kolejne maluchy, sadziła nowe drzewo – kasztanowiec, lipę, jarzab. Kiedy urodził się mój dziadek, uczciła to wydarzenie dębem. Tworzyła również zielniki, do których wkładała nie tylko suszone rośliny, lecz także wychodzące spod jej ręki rysunki. A to nie wszystko, to zaledwie początek tej historii! Wyobraź sobie, Gabrysiu, że Marylka założyła własną firmę ogrodniczą. Żyła sto pięć lat, najdłużej z całej naszej rodziny. Nie miała własnych dzieci i nigdy nie wyszła za mąż, ale ciociowała, a potem babciowała wszystkim swoim małym krewniakom. Nauczyła ich miłości do przyrody.



– Może dlatego twój tata został ogrodnikiem? – spytałam, gdy opowieść dobiegła końca.

– I pewnie dlatego twoja mama została architektką krajobrazu. A kto wie, jaki kwiatek wyrośnie z ciebie, Gabrysiu!

ROZDZIAŁ TRZECI

Następnego dnia dziadek musiał „załatwić jakąś ważną sprawę”, a ja zostałam sama. Przechadzałam się po domu, przypomiinałam sobie, jak to było, kiedy żyła babcia. Plama z soku malinowego, którą zrobiłam na ścianie w przedpokoju kilka lat temu, nadal przypomiinała głowę lwa. To babcia Kasia pierwsza zauważyła, że ułożyła się w grzywę. Razem wymyśliłyśmy historię o lwie, który wychodzi ze ściany, gdy cały dom śpi. Chodzi po pokojach i pilnuje, żeby wszystkim śniły się dobre rzeczy. A jeżeli komuś jest zimno w nogi (bo na przykład babci Kasi zawsze było zimno w nogi), układa się na kołdrze i go ogrzewa. Uśmiechnęłam się do tych lwich wspomnień.

Po chwili wahania weszłam do dawnej sypialni dziadków, a teraz już tylko dziadka Witka. Tam wszystko było inaczej. Dziadek poprzesuwał meble, a na szafce nocnej ustawił fotografię babci. Babcia stała na brzegu morza, w żółtej sukience i ogromnym pomarańczowym kapeluszu, i machała do dziadka – bo właśnie on zrobił jej to zdjęcie podczas wakacji we Włoszech. Podniosłam rękę i też pomachałam.

– Cześć, babciu! – szepnęłam.

A wtedy – choć trudno w to uwierzyć – usłyszałam:

- Cześć, Gabciu!

No wiem, powiecie, że to sobie wymyśliłam. Pamiętałam przecież, że babcia nazywała mnie „Gabcia”, co wszystkich bardzo śmieszyło, więc zwyczajnie przypomniał mi się jej głos. A jednak trochę się wystraszyłam. Szybko wyszłam z pokoju i otworzyłam drzwi na dwór. Bo nie odwiedziłam jeszcze najważniejszego miejsca w Wilczej Woli: mojego domku na drzewie. Dziadek zbudował go dla mnie, gdy już mogłam w miarę bezpiecznie wejść po drabinie. Wspinałam się więc do mojego królestwa na lipie i urządzałam tam przyjęcia. Kiedy byłam młodsza - dla lalek, a jak trochę urosłam - dla babci i dziadka. Przygotowywałam kanapki z ogórkiem, ponieważ usłyszałam, że takie podaje angielska królowa, i robiłam prawdziwą herbatę z kwiatów lipy.

Babcia zawsze wdrapywała się na górę z maleńkim prezentem zawiniętym w kolorową bibułkę.

- Wypada - mówiła - przynieść drobny podarunek, gdy się przychodzi z wizytą.

Zwykle to było ciasteczko albo cukierek, ale kiedyś przyniosła mi lupę - „do oglądania robaczek w powiększeniu”. Mam ją do tej pory.

- Ech... Ale kiedyś było fajnie - westchnęłam, gramoląc się na lipę. - Cześć, domku na drzewie - dalej mówiłam do siebie, pokonując kolejne szczeble drabiny. - Jak sobie radziłeś beze mnie?

- Całkiem niezłe - usłyszałam ze środka i prawie spadłam, tak się wystraszyłam.

- Uważaj - powiedział ten sam głos. Choć wcale nie należał do domku, tylko do szczupłego, ciemnowłosego chłopaka, który najwyraźniej się w nim rozgościł.

- Co tu robisz?! - zawołałam. - Kim jesteś? I kto ci w ogóle pozwolił tutaj wejść?

- Przepraszam - mruknął chłopak. - Nie chciałem cię wystraszyć. Ten domek jest świetny. Widziałem, że nikt do niego nie zagląda, więc...

- Więc uznałeś, że wolno ci się wprowadzić, tak?

- Zaraz wprowadzić... czasem tylko przychodzę, żeby sobie posiedzieć. Tata mnie tutaj nie wypatrzy, mam spokój.

Przyjrzałam się uważniej chłopakowi. Właściwie mogłam go zrozumieć. Ja też lubię się tak ukryć, żeby mnie nikt nie znalazł. Można wtedy na przykład pograć na komórce.

Chciałam go zapytać, w co lubi grać, ale nagle rozległo się wołanie:

- Marcel! Marcel, do domu!

Chłopak wyciągnął się na deskach, tak żeby go nie było widać, i położył palec na ustach.

- Marcel!

Zza żywopłotu, który oddzielał posesję dziadka od sąsiada, wyłoniła się brodata twarz. Mężczyzna popatrzył w górę, a ja nie zdążyłam się schylić. Zobaczył mnie.

- Dzień dobry - powiedziałam i uśmiechnęłam się niewinnie.

- Dzień dobry - odparł brodac. - Nie widziałaś Marcela?

- Nie znam żadnego Marcela, więc nie wiem, czy go widziałam - oświadczyłam, krzyżując palce za plecami.

- No... ale gdybyś go jednak zobaczyła, każ mu wracać do domu. Kuchnia sama się nie posprząta!

- Marcel to ty? - spytałam chłopaka, gdy brodac zniknął za żywopłotem.



- Ja. A ty jesteś Gabriela. Widziałem przez okno, jak rozmawiasz z dziadkiem. - Mój nowy znajomy wyciągnął z kieszeni gumę do żucia. - Chcesz jedną?

Dowiedziałam się potem, że Marcel przez kilka lat mieszkał w Anglii. Wrócił do Polski razem z tatą - o mamie nie powiedział ani słowa, a ja nie spytałam. Jakoś poczułam, że nie powinnam. Zamieszkali w Wilczej Woli obok dziadka Witka. Marcelowi bardzo podobał się antykwariat. Czasem obserwował przez szybę, jak dziadek ustawia porcelanę na półkach. Chociaż bardziej od porcelany interesowały go stare urządzenia i przyrządy - lampy naftowe, maszyny do pisania, obcinaczki do cygar... bo takie rzeczy dziadek również miał w swoich zbiorach.

- Ja też jestem kolekcjonerem - powiedział z dumą chłopak.

- Co zbierasz?

- Stare radia. Takie, które mają osiemdziesiąt albo i sto lat. To znaczy... z tatą zbieram. Pokazałbym ci, tylko... nie mogę teraz wrócić do domu.

- Jasne. - Pokiwałam głową ze zrozumieniem. - Musiałbyś posprzątać kuchnię.

- I tak posprzątam. - Uśmiechnął się. - Tylko potem. Nie ma sensu zajmować się porządkami, kiedy jest taka ładna pogoda!



Chwilę później wrócił dziadek Witek. Prowadził dość zdezelowany rower. Widać było, że rupieć został przemalowany, miał duże koła i jedną przerzutkę. Brakowało mu lampki.



- To dla ciebie, Gabrysiu - powiedział dziadek, gdy mnie dostrzegł. -
Żebyśmy mogli zrobić sobie wycieczkę.

Zauważył też Marcela.

- Dzień dobry! My się już chyba widzieliśmy? To ty zaglądasz do mnie
czasem przez okno? Jak się nazywasz?

- Marcel... - Chłopak spuścił głowę, jakby myślał, że dziadek będzie zły
o to podpatrywanie.

- No to chodź do środka. Możesz sobie wszystko obejrzeć. Masz rower?

- Mam.

- A no to pięknie! Bo zaplanowałam na jutro wycieczkę z Gabrysią. Będzie
miło, jeśli wybierzesz się z nami.

Marcel zrobił niepewną minę.

- Jeżeli tata pozwoli - bąknął.

- Poproszę go, na pewno się zgodzi - oznajmił dziadek.

Chłopiec najwyraźniej nie był przekonany, ale nic już więcej nie powiedział.
Zwłaszcza że dziadek wyciągnął rękę i podał mu torebkę z jagodziankami.

- Częstuj się! - rzucił.

A później poszliśmy w trójkę do komnaty wspomnień... bo tak nazwałam
ten pokój na zapleczu antykwariatu. Nie żeby to było jakieś niesamowite
miejsce. Po prostu takie określenie przyszło mi do głowy.

Marcelowi, w przeciwieństwie do mnie, pomysł z pamiątkowymi przed-
miotami w puszkach bardzo się spodobał. Od razu chciał sprawdzić zawar-
tość wszystkich pudełek, ale dziadek go powstrzymał.

- Nie tak szybko! Jedna pamiątka naraz. Żeby się Gabrysi nie dłużyło cze-
kanie na urodziny.

Sięgnęłam po puszkę oznaczoną cyfrą dwa. Była większa od pozostałych,
a w środku znajdowało się... No właśnie, co?

- Nie mam pojęcia, co to jest - wyznałam.

- A ja wiem! - ucieszył się Marcel. - To część od starego telefonu.

- Punkt dla Marcela - pochwalił go dziadek. - Masz rację, młody czło-
wieku! To jest słuchawka starego aparatu telefonicznego. Bardzo starego!
Musicie wiedzieć, że...

I zaczął opowiadać.

Historia starego telefonu

Dzisiaj prawie każdy człowiek ma komórkę. Trudno sobie wyobrazić
świat bez telefonu. Ale twój praprapradziadek Staszek, Gabrysiu, urodził się
w czasach, gdy dzwonek telefonu był jeszcze nowością. Telefony znajdowały
się przede wszystkim w urzędach pocztowych i tylko naprawdę zamożni
ludzie mogli sobie na własny aparat pozwolić. Rodzice Staszka na pewno
do takich nie należeli. A jednak! Ojciec chłopca był kapelusznikiem i robił
najpiękniejsze meloniki w całej okolicy. Jako człowiek obrotny uznał, że no-
woczesny przedsiębiorca po prostu musi mieć telefon. Nie wiadomo dokład-
nie, jak to osiągnął, ale w warsztacie kapeluszniczym w 1906 roku pojawił
się aparat z okrągłą tarczą, słuchawką w kształcie małej trąbki i głośnikiem
wbudowanym w korpus (tak, trzeba było podnosić do ust całe urządzenie,
gdy człowiek chciał coś powiedzieć).



Kapelusznik nikomu nie pozwalał go dotykać. Gdy któryś z sąsiadów przychodził, żeby w jakiejś pilnej sprawie zadzwonić (co zdarzało się dosyć często), prapraprapradziadek mył ręce i z wielkim namaszczeniem sam wykręcał numer.

- Żebyś mi tylko nie ruszał telefonu! Siedź i rób zadania! - burczał na syna, grożąc mu palcem, kiedy sam musiał dokądś pójść, a Staszek odrabiał lekcje. (Odrabiał w warsztacie, bo tu nie przeszkadzało mu młodsze rodzeństwo).

- Oczywiście, tato. - Staszek kiwał głową.

Ale kiedy za ojcem zamykały się drzwi, natychmiast odkładał zeszyt, wychylał się przez okno i gwizdał na palcach. To był sekretny znak dla jego przyjaciela Piotrka, że droga wolna.

Staszek i Piotrek byli kolegami z klasy. Obaj nie lubili matematyki, której uczyła ich pani Słowik - bardzo wymagająca i surowa nauczycielka. A tak się złożyło, że pani Słowik, która mieszkała na drugim końcu miasta, też miała aparat telefoniczny.

- Zrobimy jej kawał! Byłem na poczcie i w książce telefonicznej sprawdziłem, jaki ma numer! - powiedział któregoś dnia Piotrek. Po czym wykręcił cztery cyferki.

Zatkał sobie nos, a gdy nauczycielka odebrała, spytał zmienionym głosem:

- Pani Słowik?

- Tak, to ja - usłyszał w odpowiedzi.

- To niech nam pani coś zaśpiewa! - zawołał i natychmiast się rozłączył.

Ach, jak strasznie się śmiali! Nudna i oschła pani Słowik miałyby zaśpiewać! Dobrze!

Co prawda następnego dnia w szkole obaj czuli się trochę nieswojo. Czy aby czymś się nie zdradzili? Ale nie, matematyczka podczas lekcji zachowywała się jak zwykle, a Staszka nawet pochwaliła – za to, że robi postępy w równaniach z jedną niewiadomą.

Praprapradziadkowi ten telefoniczny żart tak się spodobał, że w ciągu paru lat powtórzył go jeszcze z pięćdziesiąt razy.

– Czy to pani Słowik?

– Tak.

– To niech nam pani coś zaśpiewa!

Nigdy się nie wydało, kto dzwonił.

Minęło kilka lat. Staszek wyjechał z domu uczyć się w innym mieście. A potem przyszedł rok 1914 i wybuchła pierwsza wojna światowa. Staszek, a właściwie już Stanisław, zaciągnął się do Legionów. Walczył nie tylko przeciwko wrogom. Przede wszystkim bił się o to, żeby Polska znowu była na mapie, odzyskała wolność.

Pewnego dnia jego rodzice dostali telefon: syn został ranny w czasie bitwy nad rzeką Stochód, jego stan jest poważny. Ileż było nerwów, płaczu! „Żeby tylko przeżył, dobry Boże, spraw, żeby nasz Stasieniek przeżył i do nas wrócił!”

I oto pewnego dnia żołnierz zjawił się w domu. Bez uprzedzenia. Pewnie nie miał skąd zadzwonić. Rodzice akurat pojechali na targ z kapeluszami, więc usiadł w warsztacie ojca i czekał. Był chudy, słaby, ale bardzo szczęśliwy – bo przeżył. I pewnie z tej radości postanowił powtórzyć żart z dzieciństwa. Podniósł słuchawkę i wykręcił znajomy numer.

– Pani Słowik?

– Tak.

– To może pani wreszcie coś zaśpiewa!

– Stasienku, wróciłeś! – rozszlochała się stara nauczycielka. – Boże, jaka ja jestem szczęśliwa, tak się o ciebie martwiliśmy! Mój kochany chłopcze!

W ten sposób wyszło na jaw, że przez te wszystkie lata pani Słowik doskonale wiedziała, kto sobie z niej robi żarty. Mogła poskarżyć się rodzicom Staszka, ale tego nie zrobiła. Chciała, żeby chłopaki miały trochę uciechy. To była naprawdę dobra nauczycielka. I dobry człowiek. Zresztą praprapradziadek Staszek opiekował się nią do końca jej życia. Pani Ewelina Słowik nie miała nikogo bliskiego, gdy więc się zestarzała, dawny uczeń z żoną nosił jej zakupy, zapraszał ją na wieczerzę wigilijną i sprowadzał do niej lekarza, kiedy zachorowała. Bo praprapradziadek to też był bardzo dobry człowiek.

– Dziś to by się nie udało – odparł z żalem Marcel.

– Dlaczego? – spytał dziadek Witek.

– Bo telefon komórkowy pokazuje numer tego, kto dzwoni. Nie da się zrobić żartu...

– Ach, o tym mówisz! To prawda – zgodził się dziadek. – Ale cała reszta nie zmieniła się aż tak bardzo. Ciągłe jest na świecie sporo pań Słowik i panów Słowików, którzy czekają na nasz telefon.

ROZDZIAŁ CZWARTY

- Nie ma mowy, od trzech dni cię proszę, żebyś posprzątał w kuchni i w łazience. Nie będzie żadnej wyprawy rowerowej!

Tata Marcela był bardzo stanowczy. Ja i dziadek wszystko słyszeliśmy, bo staliśmy pod drzwiami sąsiadów.

- Chyba się nie uda - powiedziałam zmartwiona.

- Spróbuję go przekonać - pocieszył mnie dziadek i zapukał.

Pan Wawrzyński (tak miał na nazwisko tata Marcela) otworzył i od razu było widać, że ma zły humor.

- Słucham pana! - rzucił, a dziadek dał mi znak głową, żebym zaczekała na zewnątrz.

Sam natomiast przekroczył próg, uzbrojony w swój najszerszy uśmiech. Ten, od którego wąsy zaczynały mu się stroszyć.

Zapomniałam już, że potrafi się tak uśmiechać.

- Dzień dobry, sąsiedzie! Ja z taką drobną sprawą...

Gdy zniknęli po drugiej stronie drzwi, zacisnęłam mocno kciuki. Oby się udało!

I oczywiście się udało!

- Ustaliłem z tatą Marcela, że twój przyjaciel może z nami jechać, jeśli wcześniej posprząta - powiedział dziadek.

- O, nie! On to będzie to robił aż do wieczora - przejęłam się. Zdążyłam już zauważyć, że Marcel nie jest mistrzem porządków. - To strasznie dużo roboty dla jednego człowieka!

- Ale przecież to nie jest jeden człowiek. Ma przyjaciółkę. - Dziadek poklepał mnie po ramieniu. - Oraz...

- Oraz?

- Oraz jej dziadka! We troje uwiniemy się w godzinę.

Wydało mi się trochę dziwaczne, że dziadek miałby zamiatać u sąsiadów, ale on natychmiast rozwiał moje wątpliwości.

- Tata Marcela zaraz wychodzi do pracy. Powiedziałem mu, że wszystkiego osobiście przypilnuję, a on się na to zgodził. No więc będę was pilnował - tylko że nie beczynnienie. Wy zmywacie, ja wycieram szklanki. I tak dalej. Nie ma w tym nic złego.

Mówiłam to już? Mój dziadek jest strasznie fajny.



- Bardzo mi się podobała historia telefonu - stwierdził Marcel, szorując przypalony garnek po kaszy gryczanej. - I przypomniałem sobie, że my też mamy taką jedną pamiątkę z historią rodzinną.

- Jaką? Opowiedz! - ja i dziadek odezwaliliśmy się chórem, a starszy pan zaraz mruknął do mnie, mrugając: - Wielkie umysły myślą podobnie!

- Ta pamiątka to pierścionek po mojej praprababci Marcysi. Nie wiem, gdzie jest schowany. Ale mogę wam o nim przeczytać, bo praprababcia pod koniec życia napisała wspomnienia. - Marcel wytarł ręce w ścierkę i podreptał do dużego pokoju. Wrócił, niosąc zeszyt obłożony szarym papierem.

- Ty szoruj gary, ja będę czytał - zaproponował dziadek Witek. Marcel łypnął na niego ponuro, ale nie zaprotestował.

Z pamiętnika praprababci, czyli historia pierścionka wielkiej damy

Wszystko zdarzyło się w Warszawie, parę lat po zakończeniu pierwszej wojny światowej. Pracowałam wtedy w piekarni na Mokotowie należącej do pani Heleny Redo. Pani Helena była bardzo elegancką damą, nosiła piękne suknie i drogocenną biżuterię. A ja - no wiecie. Nie miałam ani takich sukien, ani klejnotów. Nic dziwnego, że gdy tylko widziałam panią Helenę, przyglądałam się jej z zachwytem.

- Ach, jaki ma pani piękny pierścionek - wyrwało mi się któregoś razu, bo rzeczywiście Pani Helena miała na dłoni oprawiony w złoto ogromny szafir otoczony wianuszkami brylantów. Trudno było nie zwrócić na niego uwagi.

Minęło parę dni. Pewnego ranka, ubierając się przed lustrem, pani Helena zdała sobie sprawę, że nie ma jej ulubionego pierścionka. Zdawało jej się,

że kładła go na szafce nocnej... a może nie kładła? Może zdjęła go przypadkiem, gdy była w piekarni? A może położyła na umywalce w łazience? Jak to było? Za nic nie mogła sobie przypomnieć. Natychmiast wezwała wszystkie pokojówki, ogrodnika, no i oczywiście pracowników piekarni, w tym mnie.

- Czy nikt z was nie widział mojego pierścionka? - zapytała, świdrując nas wzrokiem.

Tyle lat minęło, a ja wciąż czuję tamten rumieniec na policzkach. Oczywiście nie miałam pojęcia, gdzie jest pierścionek, ale pani Helena patrzyła tak surowo. Najwyraźniej to mnie podejrzewała o kradzież.

- Marcysiu? A ty? Nie wiesz, gdzie jest mój pierścionek? - spytała.

Ledwie wykrztusiłam:

- Nie wiem, proszę pani!

- Czy aby na pewno? - nie ustępowała pracodawczyni.

To było okropne. Nie mogłam znieść jej podejrzeń i wybuchnęłam płaczem, a potem uciekłam do pokoiku na zapleczu piekarni. Od razu zaczęłam pakować swoje rzeczy - byłam pewna, że mnie wyrzuci. Co z tego, że byłam niewinna? Straciłam zaufanie pani Redo.

Nie wiadomo, jak by się to wszystko potoczyło, gdyby nie Jadzia, moja najlepsza przyjaciółka.

- Przecież nic złego nie zrobiłaś! Nie zachowuj się, jakbyś była winna! - upominała mnie.

- A co mam niby zrobić? - zaszlochałam.

- To proste! Musimy znaleźć ten pierścionek! - zdecydowała Jadzia.

- Ale jak?

- Mamy tylko jedno wyjście! Poprosimy o pomoc Stefana Ossowieckiego! Musimy tylko zabrać jakiś przedmiot, który należy do pani Redo. Żeby pan Ossowiecki mógł się wczuć...

Kiedy byłam małą dziewczynką, wierzyłam, że po świecie chodzą prawdziwi czarodzieje. To oczywiście nieprawda. Zdarzają się jednak ludzie obdarzeni niesamowitymi talentami. Takim człowiekiem w przedwojennej Polsce był właśnie Stefan Ossowiecki. Odnajdywał zaginionych ludzi i zagubione przedmioty. Wystarczyło, że wziął do ręki rzecz należącą do osoby, której dotyczyło pytanie, skupił się, zamknął oczy i już wiedział, co zaszło.

Do Stefana Ossowieckiego zgłaszali się różni ludzie z prośbą, aby rozwiązał ich problem. Pewnego dnia do jego drzwi zapukał sam pan Wedel, właściciel fabryki czekolady. Co się stało? Jakiś podły żartowniś wrzucił do kadzi z płynną masą czekoladową kawałki drewna i gwoździe. Strach pomyśleć, co by nastąpiło, gdyby tak nafaszerowana czekoladka trafiła do klienta! Dlatego trzeba było znaleźć łobuza. Stefan Ossowiecki szybko wskazał winnego i udało się uniknąć skandalu.

Innym razem do jasnowidza przybył z Francji wysłannik barona Rotschil-
da. Ojciec barona tak dobrze ukrył przed śmiercią swój testament, że rodzina nie mogła go znaleźć. Ale Stefan Ossowiecki bezbłędnie wskazał miejsce, w którym został schowany dokument. Mówiła o tym cała Warszawa. Dlatego właśnie Jadzia uznała, że jasnowidz znajdzie pierścionek pani Redo, jeśli tylko damy mu jakiś należący do niej przedmiot.

- Tylko co wybrać? - głowiła się Jadzia. - Już wiem! Najlepiej niech to będzie chustka do nosa.

Łatwo powiedzieć, trudniej wykonać!



- Jeszcze tego brakuje, żeby mnie teraz przyłapała na kradzieży chustki! Nigdy w życiu! - protestowałam.

Dlatego Jadzia postanowiła wziąć sprawy w swoje ręce. Tego samego dnia podeszła do pani Redo i po prostu powiedziała:

- Kochana pani Heleno, chciałabym mieć po pani jakąś pamiątkę! Na przykład chustkę do nosa, najlepiej używaną.

Pani Redo uniosła brwi.

- Co ty pleciesz, dziewczyno? Chyba ci się w głowie poplątało!

Ale Jadźka nie poddawała się łatwo.

- O, tak, marzę o chustce do nosa. Będzie moim najcenniejszym skarbem!

Pani Redo wzruszyła ramionami, a potem wyciągnęła z szafy nowiusieńką chusteczkę.

- No, ta się kompletnie nie nadaje - jęknęła do siebie Jadźka, kiedy pracodawczyni wyszła. - Jasnowidz nic z niej nie odczyta!

Na szczęście pomógł nam przypadek. Pani Redo chodziła tego dnia w pantoflach z kokardkami. Jedna kokarda odpadła, a Jadźka ukradkiem podniosła ją i schowała do kieszeni fartucha.

- Trudno o coś bardziej osobistego niż kawałek buta. Bóg jeden wie, jak długo w nich chodziła. Jasnowidz na pewno się wczuje!

I tak, uzbrojone w kokardę, stanęliśmy przed drzwiami mieszkania Stefana Ossowieckiego przy ulicy Polnej. Każdego dnia zbierał się tam tłumek interesantów, dlatego musiałyśmy trochę poczekać, zanim zaproszono nas do salonu. A jaki to był niezwykły salon! Białe meble pięknie wyglądały na tle niebieskich ścian. Natomiast pan Ossowiecki wyglądał miło, ale całkiem

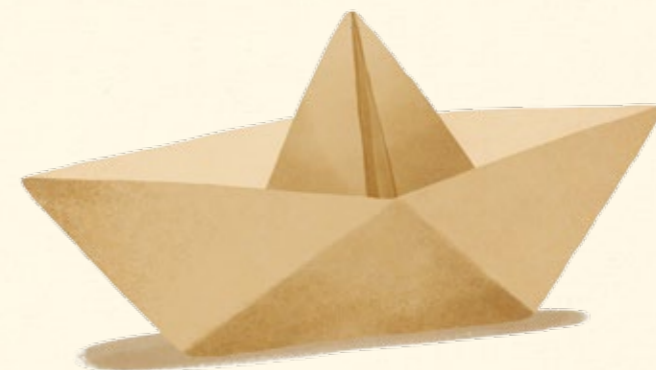
zwyczajnie. Wysłuchał naszej opowieści, wziął od nas kokardę, przymknął oczy i przez chwilę milczał. Wreszcie powiedziały:

- To zdarzyło się wczoraj. Pani Redo wsiadła do powozu i w roztargnieniu bawiła się pierścionkiem. Wsuwała go na palec i zsuwała. Wysiadając, upuściła pierścień na stopień pojazdu. Woźnica udał się do kowala, żeby podkuć konie. Na Nowolipie.

- Nie może to być! - przestraszyłam się. - I gdzie teraz jest pierścionek?

- Wpadł do ogromnej kałuży. Znaleźli go dwaj żydowscy chłopcy, którzy bawili się na ulicy. Jeden z nich włożył pierścień do łódeczki z papieru, żeby się nie przewróciła. Puszczają teraz tę łódkę po kałuży. Jeśli się panie pospieszą, odzyskają zgubę.

I tak też się stało. Odszukaaliśmy chłopców na Nowolipiu. No i trzeba było widzieć minę właścicielki piekarni, gdy opowiedziałyśmy jej tę historię...







- I ten pierścionek jest właśnie pamiątką po twojej praprababci? - spytałam.

- A skąd. Pani Helena ofiarowała Marcysi inny, dużo skromniejszy. Na przeprosiny, za niesłuszne podejrzenie. Mama dostała go od taty na zaręczyny i tata powtarza, że kiedyś damy go mojej narzeczonej. - Marcel pochylił się nad zlewem, ale wyraźnie widziałam, że się zaczerwienił.

Nawet nie zauważyłam, kiedy skończyliśmy sprzątać. Co sześć rąk, to nie dwie! I mogliśmy spokojnie się wybrać na wyprawę rowerową. Ja i Marcel przypominaliśmy sobie różne hip-hopowe kawałki, a dziadek pedałowal w milczeniu kawałek za nami. Nie był bardzo wesoły, pewnie dlatego, że poprzednio na taką wycieczkę wybraliśmy się razem z babcią. Na szczęście zabrałam ze sobą kilka krówek - a krówki każdemu poprawią humor. Kiedy wracaliśmy już do domu, zauważyłam leżący na drodze szary kamień. Miał kształt serduszka. Zabrałam go ze sobą. Lubię kamienie.

ROZDZIAŁ PIĄTY

Wstałam nieco później niż zwykle i od razu poczułam, że coś się stało. Każdego ranka dziadek stukał talerzami, szykując dla nas śniadanie, tego jednak dnia wokół panowała cisza. Czyżbym była sama w domu? Nieco zaspana poczłapałam do kuchni. Ani śladu śniadania, ani śladu dziadka. A może on jeszcze się nie obudził? Zajrzałam do jego sypialni. Siedział na łóżku, a w dłoniach trzymał zdjęcie babci - to z wakacji. Miał wilgotne oczy.

- Dziadku... - szepnęłam.

Podskoczył, jakbym go przestraszyła. Wytarł dłonią policzek, a potem wyciągnął w moją stronę ramiona.

- Gabrysiu, jaka cudowna wiadomość! Masz siostrzyczkę! Mała Kasia urodziła się tej nocy! Waży prawie cztery kilo, ogromna dziewczucha!

Nie bardzo wiedziałam, jak zareagować. Oczywiście, że czekałam na siostrę, ale nagle poczułam się nieswojo.

- Czemu płaczesz, jeśli to takie wspaniałe? - zapytałam niechętnie.

- To trochę łązy szczęścia, a trochę... Twoja babcia tak by się cieszyła. Szkoda, że nie może... - Dziadek urwał, po czym odwrócił głowę i odstawił zdjęcie na szafkę.

Podeszłam i pogłaskałam go po rękę.

- Zrobię ci jajecznicę, chcesz?

- A potrafisz?

- Pewnie, że potrafię!

- No to chodźmy.

Niestety trochę ją przesoliłam i okazała się niejadalna.

- Jest na to sposób - powiedział dziadek.

- Jaki?

- Wbijmy więcej jajek, to słoność rozpuści się w jajowatości.

- Ile? - Bardzo byłam ciekawa.

- Hmm. - Dziadek zmarszczył brwi. - Sądząc po smaku, przydałoby się jeszcze... dwadzieścia jaj?

- Trzeba zaprosić wszystkich sąsiadów na śniadanie - odparłam ze śmiechem.

- Już niedługo twoja siostrzyczka podrośnie i będzie pomagała w jedzeniu jajecznicy. Cieszysz się?

- Cieszę... - powiedziałam, choć zupełnie bez entuzjazmu.

- Nie wygląda mi na to - zauważył dziadek.

- No bo się boję, że teraz wszystko się zmieni. Kasia będzie najważniejsza. Popatrz: rodzice tyle mówili o moich jedenastych urodzinach. Że to takie ważne. Że będę nastolatką. I od kilku dni zajmują się wyłącznie rodzeniem tego nowego dziecka. A ja...

- A ty siedzisz ze staruchem i się nudzisz, tak? - Dziadek zerknął na mnie kpiąco znad jajecznicy.

- Nie nudzę, tylko... miało być inaczej!

- I tak właśnie będzie wyglądać całe życie. Coś sobie zaplanujesz, ale będzie inaczej. Co dzień, to niespodzianka. I wiesz co, Gabrysiu?

- Co?

- Nie martw się na zapas. Do urodzin zostało trochę czasu i wcale nie wiadomo, co się jeszcze wydarzy. To po pierwsze. A po drugie: oczywiście, że Kasia będzie najważniejsza. Zawsze najmniejsze jest najważniejsze, bo trzeba się nim opiekować, bo samo sobie nie poradzi. Ale jestem pewien, że nawet gdyby Kasiątko próbowało wejść ci na głowę, to mu nie pozwolisz. A wiesz dlaczego?

- Dlaczego?

- Bo jesteś podobna do babci Kasi, a ona miała bardzo silny charakter. Odziedziczyła go po swojej babci Weronice.

- Tej, której portret wisi w dużym pokoju?

- Tej samej. I... myślę, że to dobry moment, aby otworzyć puszkę z cyferką trzy!

Poszliśmy do komnaty wspomnień. Rozsiedliśmy się w fotelach. W puszcze znajdował się zegarek! Srebrny, z perłową tarczą.

Dziadek zaczął opowiadać.



Historia srebrnego zegarka

Ojciec twojej praprababci, Gabrysiu - pan Wawrzyniec - był cenionym lekarzem. Potrafił robić skomplikowane operacje, pisał mądre książki. Żona pana Wawrzyńca mówiła, że większość jego serca zajmują pacjenci, a rodzina - mały kącik. Ale to nie była prawda. Pan Wawrzyniec uwielbiał swoją żonę, natomiast poza córkami świata nie widział. Choć prawdą jest, że rozmawiać umiał tylko o ślepych kiszkach i woreczkach żółciowych. Codziennie po kolacji opowiadał rodzinie o najciekawszych przypadkach.

- Przywieźli mi dziś pacjenta z tak potwornym bólem w dole pleców, że nie mógł się ruszyć. No i nie zgadniecie, co mu było...

- Może wyskoczył mu dysk z kręgosłupa? - odpowiadała starsza córka Małgosia.

- E, na pewno mu dokuczały zwykłe kamienie nerkowe - mówiła młodsza, dwunastoletnia Weronika.

- Brawo! - cieszył się doktor Wawrzyniec. - Ależ wy jesteście mądre, moje kochane córeczki! Mógł być to dysk, rzeczywiście, a jednak okazało się, że kamienie. Jestem z was taki dumny!

No cóż, gdy człowiek siedzi z lekarzem przy kolacji i codziennie słucha o chorobach, to zaczyna stawiać diagnozy w wieku dwunastu lat... Tak właśnie było z twoją praprababcią. Weronika, która uwielbiała te szpitalne opowieści, marzyła, że gdy dorośnie, sama zostanie lekarką.

Niestety jej tata inaczej widział przyszłość swoich córek.

- To bardzo ciężki zawód, nieodpowiedni dla kobiet. Jak to sobie wyobrażasz, moja droga? Dom, dzieci i jeszcze szpital? Popatrz tylko na matkę! Ledwo jej czasu wystarcza dla was! - Oto co powiedział pan Wawrzyniec, gdy Weronika raz mu się zwierzyła.

Dziewczyna odziedziczyła jednak po ojcu nie tylko talent, lecz także upór. Jak coś sobie postanowiła, trudno jej to było wybić z głowy.

- Chcę być lekarką - powtarzała.

Kiedy była trochę starsza od ciebie, Gabrysiu, wyjechała do szkoły z internatem. Cały wolny czas poświęcała na naukę przyrody. Maturę zdała śpiwając. W dniu, w którym dostała do ręki dyplom, mieli przyjechać po nią rodzice. Ale gdy dotarli do prowadzonego przez zakonnice internatu, okazało się, że Weroniki nie ma. Kilka godzin wcześniej ukręciła z prześcieradeł długi sznur, spuściła się po murze, wsiadła w pociąg i pojechała na egzaminy wstępne na medycynę. Oczywiście zdała!

Doktor Wawrzyniec wcale się nie ucieszył.

- Zrobiła to wbrew mojej woli! - krzyczał. - Niedobra córka! Albo natychmiast wróci do domu i przeprosi, albo nie chcę jej znać!

Na nic się zdały prośby i zaklęcia matki oraz starszej siostry. Doktor Wawrzyniec był uparty jak osioł. Obraził się i przestał odzywać do nieposłusznej córki.

A skoro przestał się odzywać, to nie dawał jej także pieniędzy na utrzymanie. I co tu zrobić? Weronika musiała się dużo uczyć i nie miała czasu na to, żeby szukać pracy. Zaczęła jednak dawać korepetycje młodszym uczniom. Ale przyszedł taki moment, że tych zarobionych groszy nie wystarczało nawet na jedzenie. I któregoś dnia zmęczona i głodna Weronika wyciągnęła z walizki jedyną cenną rzecz, jaką zabrała z domu. Śliczny szwajcarski

zegarek, który otrzymała na urodziny. Od spodu miał wygrawerowany napis: *Dla Weroniki w dniu urodzin - rodzice*. I datę: *25 sierpnia 1921 roku*.

Dziewczyna westchnęła ciężko, a potem zaniósła zegarek do jubilera. Sprzedała cenną pamiątkę, bo przecież musiała coś jeść.

Weronika wreszcie skończyła studia i zaczęła pracować w szpitalu. Zdarzyło się, że pewnego dnia zobaczyła leżącego w kącie sali młodego człowieka. Był blady, ciężko oddychał. Starsi lekarze podchodzili do niego i ze smutkiem kręcili głowami.

- Co mu jest, panie profesorze? - spytała doktor Weronika.

- Jemu nic już nie może pomóc, szkoda pani czasu - westchnął stary profesor.

„To straszne - pomyślała lekarka. - Taki młody i już musi odejść z tego świata!”

Po czym, gdy nikt nie patrzył, przeczytała jego historię choroby. Szybko zrozumiała, że postawiono złą diagnozę. Czym prędzej pobiegła do swojego przełożonego.

- Panie profesorze! Trzeba zmienić leczenie. Popełniono błąd!

Profesor zmarszczył brwi - wyglądał teraz jak jej ojciec, kiedy bardzo się gniewał.

- Gdy pani doktor zdobędzie trochę więcej doświadczenia, zrozumie, że czasem nie da się człowiekowi pomóc - powiedział i odszedł.

Biedny chłopak... Weronice tak go było żal. Postanowiła mu pomóc. Tylko musiała to zrobić sprytnie. Poczekwała, aż starsi lekarze pójda do domu, a wtedy sama, nie pytając nikogo o pozwolenie, podała choremu właściwe lekarstwa.



Następnego ranka, gdy wszyscy medycy przyszli do pracy, odkryli, że młody człowiek czuje się lepiej. Siedział na łóżku i jadł zupę mleczną.

Stary profesor nie mógł wyjść ze zdumienia. Skąd ta zmiana? Wówczas doktor Weronika wystąpiła na środek sali, popatrzyła mu prosto w oczy i powiedziała:

- Zgodnie z zaleceniem pana profesora zmieniłam leczenie!

Profesor już miał się oburzyć, wykrzyknąć, że to nieprawda! Ale ostatecznie tylko głośno nabrał powietrza, wziął Weronikę na bok i oznajmił:

- Jest pani bezczelna, nieposłuszna, arogancka. Bardzo dobrze. Bo jest pani dzięki temu wspaniałą lekarką. Ryzykowała pani utratą pracy, ale ważniejsze było, żeby uratować ludzkie życie. Brawo. Ojciec może być z pani dumny.

A tak, bo ten profesor znał twojego praprapradziadka Wawrzyńca, Gabrysiu! Wiedział, że ojciec i córka, dwa uparciuchy, nie rozmawiają ze sobą. I tego popołudnia złożył przyjacielowi wizytę...

Kilka dni później, gdy Weronika wróciła do domu, zastała przed drzwiami ojca. Miał dla niej prezent. Małe zawiniątko.

- Co to takiego? - spytała Weronika, gdy już sobie popłakali i wyściskali się na zgodę.

- Sama zobacz - wyszeptał wzruszony pan Wawrzyniec.

To był zegarek. Ten sam, który Weronika sprzedała, żeby mieć na jedzenie. Jakimś sposobem ojciec dowiedział się o tym, odkupił rodzinną pamiątkę i trzymał przez kilka lat w komódce z nadzieją na pojednanie.

- Przepraszam cię, córeczko - powiedział ze skruchą. - Za to, że cię nie słuchałem. I za te lata, które zmarnowałem na kłótnie.



- Babcia twojej babci zawsze mówiła, że to był jeden z najszcześniejszych dni w jej życiu - zakończył opowieść dziadek Witek.

- A ten drugi? - spytałam.

- Drugi był wtedy, gdy wyleczony przez nią młody człowiek zjawił się z wizytą i przyniósł prezent. Obraz przedstawiający wazon z peoniami. Sam go namalował, bo był malarzem!

- Czy to ten, który wisi u nas w domu?

- Ten sam! Bo po jakimś czasie pan malarz został także mężem Weroniki i tatą Bogusi, czyli twojej prababci.



- I to naprawdę jest zegarek Weroniki? - upewniłam się.

- Odwróć go i sama się przekonaj!

Zrobiłam to. Po drugiej stronie znajdował się napis. *Dla Weroniki w dniu urodzin - rodzice. 25 sierpnia 1921 roku.*

- Ojej! - nagle to do mnie dotarło. - Ona miała urodziny tego samego dnia co ja! Jaka szkoda...

- Szkoda?

- Szkoda, że nie mogłam jej poznać.

- Nikt tak do końca nie odchodzi - rzekł z uśmiechem dziadek. - Jesteś do niej podobna. Tak samo uparta!

Kiedy wróciliśmy do kuchni, zobaczyliśmy, że problem nadmiaru jajecznicy rozwiązał się sam. Pożarł ją nieznośny Biskopt. Oby się tylko nie porchorował!

ROZDZIAŁ SZÓSTY

Dwa dni później miałam niesamowity sen. Śniło mi się, że babcia wyjmuję z wózka moją siostrzyczkę. Śmieje się do niej, a Kasia chwytą babciny palec.

Gdy otworzyłam drzwi, dziadek Witek stał w progu i trzymał w rękach tablet.

- No, nareszcie, nasz prosiaczek się obudził!

- Dlaczego prosiaczek? - Skrzywiłam się.

- Bo tak śmiesznie chrumkałaś przez sen!

- Za to ty chrapiasz, kiedy śpisz!

- Nie chrapię, tylko śpiewam nosem!

Zaczęliśmy się śmiać. A potem zadzwoniliśmy na Skypie do rodziców. Mama wróciła już ze szpitala. Wyglądała na zmęczoną, ale zadowoloną. Bobas spał w jej ramionach.

- Zupełnie niczego nie poznaję - powiedziałam, próbując się zorientować, co widzę za plecami mamy.

- No bo siedzimy już w naszym nowym mieszkaniu - wyjaśnił tata, którego głowa nagle pojawiła się na ekranie tabletu. - Masz tu większy i jaśniejszy pokój niż w starym domu.

„Tamten całkiem mi odpowiadał” – chciałam powiedzieć, ale wtedy moja mała siostra się rozpląkała. Rodzice na moment kompletnie stracili zainteresowanie rozmową.

- Ona tak cały czaaaas?! - jęknęłam.

- Tylko kiedy chce jeść. Czyli właściwie... no tak, cały czas. Małe żarłoczne prosiątko! - Mama zachichotała. Najwyraźniej wcale jej to nie martwiło. - Byłaś taka sama, moja świnko!

- Też coś! - oburzyłam się. - A w ogóle... Co to za dziwny zwyczaj w tej rodzinie, żeby córki nazywać prosiakami?!

- Przepiękny prosiak! Najukochańsze moje prosiątko! - ćwierkała mama i nie miałam pewności, czy mówi o mnie, czy o Kasi.

- Pewnie chciałabyś ją wziąć na ręce? - Tata uśmiechał się od ucha do ucha. - Będzie z ciebie świetna starsza siostra.

„No cóż, chyba lepiej być świetną starszą siostrą niż prosiakiem” - pomyślałam, ale co do przytulania... nie byłam już taka pewna.

Dla świętego spokoju odpowiedziałam:

- Tak. Chciałabym ją wziąć na ręce.

A wtedy wyobraziłam to sobie i... zrobiło mi się jakoś ciepło wokół serca.

- Już za kilka dni... - zaczął mówić tata, ale mama zgromiła go wzrokiem.

A przynajmniej tak to wyglądało na tablecie.

- Co za kilka dni? - zapytałam podejrzliwie.

- Nasza starsza córka ma urodziny! - zawołał tata.

- Naprawdę masz zaraz urodziny? - spytał Marcel. Wszedł do pokoju, gdy właśnie żegnałam się z rodzicami. - Będę musiał wymyślić jakiś prezent!

- Nie zwracaj tym sobie głowy. A czemu cię wczoraj nie było?

- Pomagałem tacie. Skończyły mu się jakieś kabelki i pojechaliśmy do miasta. - Chłopak zmarszczył brwi z niezadowoleniem. - Poza tym... tata mówi, żebym się wam nie narzucał.

- Co za pomysł. Przecież nam bardzo z tobą dobrze! - Dziadek objął Marcela ramieniem. - I wiesz co? Mam do ciebie prośbę! Jest tu takie urządzenie, które trzeba starannie wyczyścić. Nowy nabytek antykwariatu. Może uda się je uruchomić?

Wyciągnął z szafy pudło, a z niego...

- Stare radio! - ucieszył się Marcel. - Nawet wiem, co to za model! Nazywa się Gloria!

- Masz rację, to rzeczywiście jest radio Gloria. Ale skąd ty wiesz takie rzeczy, dzieciaku?

- Mój tata naprawia różne rzeczy i ma książki o starych maszynach. Poza tym zbieram... tata zbiera stare radia.

- No to jesteśmy w domu! - Dziadek się rozpromienił. - Będiesz moim konsultantem w sprawach radiowych, bo ja znam się przede wszystkim na porcelanie.

- Fajnie. Jasne, że pomogę - odparł Marcel, nie kryjąc zadowolenia.

- A jak już wyczyścisz naszą Glorię, postawimy ją na komodzie. Ale, ale! - Dziadek nagle uderzył się w czoło. - Jeszcze ty nie słyszałeś nowiny.

- Jakiej?

- Gabrysia ma siostrę! Malutką Kasię.

Marcel jakby posmutniał. Po nim od razu wszystko widać.

- Trochę ci zazdroścę - westchnął, rzucając mi dziwne spojrzenie.

- Czego tu zazdrościć? - Uniosłam brwi.

- No, masz dziadka, rodziców, a teraz siostrę. Ja mam tylko tatę.

Już otwierałam usta, żeby zapytać, co się stało z jego mamą, ale w ostatniej chwili ugryzłam się w język.

Sytuację uratował dziadek.

- No tak - pokiwał głową ze zrozumieniem. - To się czasem w życiu zdarza, że człowiek nie ma mamy, babci, rodzeństwa, dzieci, wnuków, a nawet żony czy narzeczonej. Niekiedy jest całkiem sam. Ale wiesz co, Marcelu?

Mój przyjaciel popatrzył na dziadka Witka pytająco.

- Rodzinę można sobie stworzyć inaczej.

- Ciekawe jak?

- Najłatwiej poszukać jej wśród ludzi, którzy kochają to samo, co ty. I potrafią się razem z tobą śmiać. Oni też są rodziną.

- Ale co ci ludzie mają kochać? - nie rozumiał Marcel.

- Na przykład stare radia - zachichotał dziadek.

- Albo gry komputerowe - podsunęłam.

- Albo góry, książki, psy i koty... albo po prostu siebie nawzajem - wyliczał dalej dziadek. - To mi przypomina, żeby zajrzeć do kolejnej puszki w komnacie wspomnień. Następna rodzinna pamiątka pochodzi od kuzyna mojej mamy. Czyli twojej prababci Kseni, Gabrysiu.

Sięgnęłam po puszkę z numerem cztery. W środku znajdował się naklejony na tekturkę malutki akwarelowy obrazek. Przedstawiał uśmiechniętą panią w niebieskiej sukience. Młoda kobieta szła przez brzozowy lasek i niosła na rękach dziecko.

- Kto to jest? - spytałam.

- A zgadnij!



- Wydaje mi się, że jakaś mama - powiedziałam.
 - No i dobrze ci się wydaje! Zaraz wam opowiem historię tego obrazka.
- Tylko przyniosę z kuchni kwaśne żelki.
- Kupiłeś kwaśne żelki? Uwielbiam!
 - Ja też! - zawołał Marcel.
- W sumie sporo jest rzeczy, które lubimy razem.

Historia akwarelowego obrazka

Uprzedzam was tylko, że ta historia będzie skomplikowana, więc musicie się skupić. Wszystko zdarzyło się w czasie drugiej wojny światowej. Na pewno coś już o niej wiecie. Hitlerowskie Niemcy napadły wtedy na Polskę. Żołnierze zajęli miasta i miasteczka. Prześladowali Polaków, a jeszcze bardziej Żydów, których żyło wówczas w Polsce bardzo wielu.

Kuzyn mojej mamy - Michał mu było na imię - mieszkał w niewielkiej kamienicy na obrzeżach Warszawy. Na podwórku miał dwóch kolegów. Tak się zabawnie złożyło, że każdy z nich również nazywał się Michał. Prócz imienia łączyło Michałów jeszcze jedno: wszyscy trzej mieli tylko tatów. Jednak poza tym różniło ich bardzo wiele. Michał pierwszy miał zielone oczy i był Polakiem, Michał drugi miał niebieskie oczy i był po mamie Żydem, Michał trzeci miał piwne oczy i był w połowie Niemcem. Jego tata na długo przed wojną ożenił się z Polką. Chłopcy bawili się razem na podwórku albo siedzieli w domku na drzewie, który zbudowali dla nich ojcowie.

Tak, w takim samym domku jak twój, Gabrysiu!

Trzej Michałowie przyjaźnili się - jak to kiedyś mawiano - na śmierć i życie. Całymi dniami grali w piłkę i w hacele. Pewnie nie wiecie, na czym polega ta druga gra. Trzeba zebrać kilka kamyków albo śrubek i wszystkie podrzucić, a potem spróbować je złapać. Jednocześnie! To bardzo trudne, ale Michał, Michał i Michał osiągnęli mistrzostwo w tej grze.

Oczywiście ich życie po wybuchu wojny nie wyglądało już tak samo. Dookoła działy się różne złe rzeczy. Na przykład pewnego dnia ojca jednego z Michałów Niemcy wzięli na przesłuchanie.

Pod wieczór wrócił do domu, ale był bardzo zmartwiony.

- Chyba będę musiał uciekać, Michałku - powiedział do syna. - Oni mi nie odpuszczą. Wrócą tu po mnie, jestem pewien.

- Ja wiem, gdzie pana schować, tak żeby pana nie znaleźli - wtrącił ojciec innego Michała.

- A co będzie z moim synkiem?

- Zostanie z nami, wróci pan po niego, jak się wszystko uspokoi.

- Tak właśnie zrobimy - potwierdził tata kolejnego Michała.

Tata, który musiał się ukrywać, wziął syna na poważną rozmowę.

- Nie martw się, Michałku, wszystko, co złe, kiedyś się kończy. Ja po ciebie wrócę. A teraz masz to... - I wręczył mu obrazek. - Namalowała go twoja mama - wyjaśnił, widząc zdziwienie w oczach chłopca. - Kiedy byłeś bardzo malutki, ten widoczek wisiał nad twoim łóżkiem. Nie zgub go, bo to cenna pamiątka!

Michał strzegł zatem obrazka jak oka w głowie. Któregoś dnia wdrapywał się do domku na drzewie i prawie spadł - ale na szczęście w ostatniej chwili złapał się gałęzi.



- To dlatego, że miałem w kieszeni obrazek mamy - wytłumaczył kolegom. Od tej pory nigdy się z nim nie rozstawał. Pewnego dnia chłopcy wybrali się razem na targ. Chcieli pomóc sąsiadowi w sprzedaży wędlin (czego w czasie wojny nie wolno było robić, ale ludzie mimo to handlowali, żeby mieć co jeść). Trochę się bali, więc Michał - ten od obrazka - powiedział, że mają przecież zapewnioną ochronę. I poklepał się po kieszeni.

Tak się jednak stało, że Niemcy złapali chłopaków, kiedy ci próbowali wejść na targowisko z baleronom za pazuchą. Oj, mogło się to wszystko bardzo źle skończyć. Jednak jeden z Niemców zauważył obrazek, który Michał miał schowany w kieszeni. Obejrzał go, coś do siebie mruknął, po czym oddał dziecku i obrazek, i baleron.

- Ten obrazek naprawdę ma wielką moc! - powiedział inny Michał, gdy już siedzieli bezpiecznie w domu.

No a potem zdarzyła się rzecz najokropniejsza. I jednocześnie najbardziej niesamowita.

Przyszedł rok 1944. Na miasto znów zaczęły lecieć bomby. Ludzie chowali się w piwnicach. Ukryli się także Michał, Michał, Michał i dwóch ojców. Wcisnęli się w kąt, który uznali za bezpieczny.

- Ojej! - zawołał w pewnej chwili Michał - ten bez taty. - Nie mam obrazka! Pewnie go upuściłem, kiedy biegliśmy. Muszę wrócić...

- Nie rób tego, poczekaj, aż złe minie! - wołali za nim ojcowie i koledzy.

Ale Michał ich nie słuchał. Pognął przed siebie piwnicznym korytarzem. Więc pozostali pospieszyli za nim, żeby go zatrzymać.

I wtedy na dom spadła bomba. W miejsce, w którym byli jeszcze przed chwilą. Gdyby się stamtąd nie ruszyli, strach pomyśleć, co by nastąpiło.

A tak - wszyscy się uratowali. Czy to była moc obrazka? Kto wie! Michał powtarzał zawsze, że ochroniła go miłość mamy.



- No dobrze, ale co było potem? - spytał Marcel.

- Potem? Wszystko skończyło się dobrze. Po wojnie tata Michała wrócił do synka, no i zaczęło się życie. Całkiem udane! Trzej Michałowie zamieszkali w trzech różnych miejscach na świecie, ale przynajmniej raz do roku spotykali się, żeby pograć w hacele. A my mamy obrazek na pamiątkę!

- Nic z tego nie rozumiem! Który Michał był który? Kto i dlaczego się ukrywał? I który chłopiec to nasz krewny?! - zawołałam, bo ta historia wydawała mi się strasznie poplątana.

- Och, czy to ważne, który Michał był który? Wszyscy trzej są nasi. Ale skoro nalegasz, to ci wytłumaczę. Kuzynem mojej mamy był trzeci Michał. Miał mamę Polkę i tatę Niemca. W czasie wojny ten tata nie chciał się opowiedzieć po stronie najeźdźcy i groziło mu za to więzienie. Niemiecki urzędnik zapytał, czy nie boi się konsekwencji. A on na to: „Bardziej się boję, co by mi powiedziała moja świętej pamięci żona!”

- Ta żona, po której został obrazek? - upewnił się Marcel.

- Ta sama. No więc gdy nad tym tatą zawisła groźba więzienia, jego sąsiad, ten, który miał żonę Żydówkę, ukrył go w swoim domu na wsi. I razem z sąsiadem Polakiem zajął się trzema Michałami. Już chyba wszystko jasne, co, Gabrysiu?

Nie do końca... i najwyraźniej widać to było po mojej minie.

- To nic - powiedział dziadek. - Po prostu zapamiętaj tę historię. Kiedyś zrozumiesz ją lepiej. Na przykład to, że gdy trzeba ratować czyjeś życie, nie jest ważne, jak ktoś ma na imię czy na nazwisko. Jest tak, jakby każdy miał to samo imię i tę samą mamę.



ROZDZIAŁ SIÓDMY

Następnego dnia Marcel przyszedł wcześniej niż zwykle.

- Mam dla ciebie prezent - powiedział, wręczając mi paczuszkę.

- Ale to jeszcze nie dzisiaj - zaprotestowałam, choć zrobiło mi się bardzo miło.

- Chciałem, żebyś się szybciej ucieszyła.

- A ty? Z jakiego jesteś miesiąca?

- Ze stycznia.

- No to jeszcze trochę... Może przyjadę na ferie do dziadka, to też ci dam coś fajnego.

- Wcale nie wiesz, czy to, co dla ciebie mam, jest fajne. Obejrzyj!

Otworzyłam zawiniątko. W środku był... tajemniczy przedmiot. Pudełko od zapalek, a w nim jakieś elektroniczne elementy.

- Radio. Sam zrobiłem - powiedział Marcel. - To znaczy tata mi pomógł.

- Działa? - spytałam z powątpiewaniem.

- Można je podłączyć do głośnika, wtedy usłyszysz, że gra. Niestety tata nie znalazł w pracowni żadnych głośników, więc na razie musisz mi uwierzyć na słowo.

Wtedy jednak przyszedł dziadek i powiedział, że ma głośnik, więc Marcel podłączył radio. Działo!

Ja i on zabraliśmy jagodzianki i żelki i wdrapaliśmy się do domku na drzewie. Pogoda trochę się zepsuła, więc siedzenie pod dachem było najlepszym pomysłem. Wśród liści lipy opowiadaliśmy sobie różne zabawne historie.

- Mój tata, jak jeszcze chodził do szkoły, przygotował dla przyjaciela prezent na urodziny - zaczął Marcel. - Razem z kolegami znalazł gdzieś ogromny karton, taki na pralkę, i wsadził do tej paczki jednego chłopaka, który w dodatku był przebrany za królika. A potem zawinął pakę w szary papier. Kiedy ten przyjaciel otworzył swój gigantyczny prezent, wyskoczył na niego wielki pluszowy królik.



- Ale numer. - Parsknęłam śmiechem. - I co, chłopak się rozzłościł?

- Nie. Bo ten królik trzymał w łapie kopertę z biletami do kina. Przyjaciel taty strasznie chciał iść na *Gwiezdne wojny*.

- To *Gwiezdne wojny* były już tak dawno temu? - zdziwiłam się.

A potem opowiedziałam, jak moja kuzynka znalazła obok szkoły psa. I zadzwoniła do mamy z pytaniem, czy może go zabrać do domu, jeśli nie zjawi się właściciel. Mama spytała, czy to duży pies, a koleżanka odpowiedziała, że jest podobny do jamniczka. Tylko że tymczasem przyszedł opiekun pieska. Więc kuzynka, która już miała zgodę mamy na „jamniczka”, postanowiła poszukać innego psa w potrzebie. No i owszem, znalazła. Ale ten drugi znajdek był wielkości wilczura. Kiedy mama wróciła do domu i zobaczyła psa „podobnego do jamniczka”, trochę się zdenerwowała. Na szczęście kuzynka powiedziała, że nie zna się za bardzo na rasach, i Wilczek został. Już na zawsze.

Ja i Marcel śmialiśmy się i śmialiśmy. A potem przyszedł dziadek i zaprosił nas do komnaty wspomnień.

- Dobrze się składa - powiedział - bo pamiątka w puszcze numer pięć też ma zabawną historię.

Otworzyłam metalowe pudełko. W środku znajdowało się stare wieczne pióro.

- Do kogo należało? - spytałam.

- Do babci Kasi - szepnął dziadek.

Ja i Marcel zamieniliśmy się w słuch.



Historia wiecznego pióra

Szkoła, do której chodziła babcia Kasia, mieściła się w starym ceglany budynku. Jednym z najstarszych w miasteczku. Większość nauczycieli babci zaczęła pracę jeszcze przed drugą wojną światową. A najstarszy był nauczyciel historii, któremu uczniowie dali przydomek Jagiełło, bo historyk najbardziej lubił tego właśnie króla. Czasem, gdy chciał zrobić klasówkę, któryś sprytny uczeń mówił:

- Panie profesorze, czy mógłby nam pan opowiedzieć o panowaniu Władysława Jagiełły?

Profesor uśmiechał się zachwycony. A klasówki oczywiście nie było.

Co ciekawe, Jagiełło w każdej klasie zadawał na sprawdzianach te same pytania.

- Czemu kolega Mroczek (bo Jagiełło naprawdę nazywał się Mroczek) tak postępuje? - zastanawiali się na głos inni nauczyciele.

On zaś wzruszał ramionami.

- Pytam o to, co uważam za najważniejsze.

Właściwie można by taki sprawdzian napisać w domu, ale to byłoby jednak dość trudne. Bo owszem, Jagiełło zadawał te same pytania, ale zawsze w innej kolejności.

Pan profesor miał jeszcze jedną cechę, która była częstym powodem żartów. Znał chyba wszystkie ważne daty w historii świata, ale zupełnie nie pamiętał imion i nazwisk swoich uczniów. Och, jakież to było zabawne, gdy

wzywał do tablicy Jacka Bąka, a z ławki wychodził Piotrek Kowalski. Zresztą pocziwy profesor wiedział o psikusach swoich uczniów, ale nie przejmował się nimi zupełnie.

- Jeśli Bąk-Kowalski odpowiada dobrze, to znakomicie! W końcu trafię i na prawdziwego Bąka!

Jednak każdy żart powtórzony dziesięć razy wreszcie się znudzi. Dlatego dowcipnisie wpadli na nowy pomysł.

W klasie babci Kasi uczył się chłopiec o imieniu Wojtek. Jego tata był chemikiem, więc Wojtuś zwany Wodorkiem miał dostęp do różnych preparatów i potrafił mnóstwo rzeczy. A to zrobił mydło, a to środek do czyszczenia srebra. Potrafił też wyprodukować znikający atrament. Gdy coś się nim napisało, po kilku godzinach po literach nie było nawet śladu.

Któregoś dnia, po pokazie możliwości tego znikającego atramentu, jeden z klasowych wesołków powiedział:

- Wiecie co? Kiedy następnym razem Jagiełło zrobi nam sprawdzian, podrzucimy mu pracę napisaną znikającym atramentem!

Jak pomyśleli, tak zrobili. Po zakończonym sprawdzianie, na przerwie, nabazgrali szybko jeszcze jedną pracę. Podpisali ją: „Gromisław Gołąbek” (a nikogo takiego w klasie nie było). Twoja babcia Kasia, Gabrysiu, wdrapała się przez okno do zamkniętej na klucz klasy historycznej i podłożyła dodatkowy sprawdzian.

Jeszcze tego samego dnia profesor przystąpił do poprawiania prac. Postawił bardzo dużo piątek i kilka czwórek - uczniowie byli dobrze przygotowani. Ale Gromisław Gołąbek się nie popisał: dostał tylko trójkę, i to słabutką. Profesor chciał wpisać stopnie do dziennika i wtedy się zorientował,

że Gromiśława nie ma! Bardzo go to zbiło z tropu. Nie wiedział, co ma myśleć, nazajutrz poszedł więc do dyrektora szkoły.

- Panie dyrektorze, uczeń się zgubił! - powiedział. - Mam jego pracę, ale on nie figuruje w dzienniku!

- Jaki to uczeń? - spytał nieufnie dyrektor.

Jagiełło chciał sobie przypomnieć nazwisko, lecz za nic nie mógł. Zapomniał.

- Chwileczkę - odparł bezradnie i zaczął szperać w sprawdzianach.

Cóż, kiedy nie znalazł żadnej dodatkowej pracy, tylko... pustą kartkę. Bez ani jednej literki.

- Wszystko zniknęło! - jęknął przerażony.

- Panie profesorze. - Dyrektor zmarszczył brwi. - Obawiam się, że jest pan przemęczony. Ma pan poważne kłopoty z pamięcią! Czy to nie jest aby dobry moment, żeby przejść na emeryturę?

- Tak, panie dyrektorze, być może jestem już na uczenie za stary - wyszeptał profesor i opuścił gabinet.

Wiadomość o tym, że Jagiełło źle się poczuł i musiał pójść do domu, bardzo szybko obiegła szkołę.

- Co myśmy najlepszego zrobili?! - zawołała wystraszona Kasia. - Jeszcze się przez nas pochoruje!

- Tylko nikomu ani słowa! - ostrzegł klasę Wojtek. - Jak się dowiedzą, że to my, wyrzucą nas ze szkoły!

Rzeczywiście, uczniowie mogli zostać surowo ukarani. Dlatego postanowili, że nic nikomu nie powiedzą. Wszyscy poza Kasią. Nogi się pod nią ugięły, ale dzielnie weszła do gabinetu dyrektora.



- Jagiełto... to znaczy pan Mroczek... niczego nie pomylił. To ja podrzuciłam pracę Gromiśława Gołąbka! - powiedziała. - Była napisana znikającym atramentem, dlatego profesor nie mógł jej znaleźć.

Dyrektor bardzo się rozgniewał. Wezwał rodziców Kasi na rozmowę. Wtedy jednak ujął się za nią nauczyciel.

- Dzieci robią różne kawały - oświadczył. - Zawsze tak było i zawsze będzie. Dla mnie ważniejsze jest to, że dziewczyna powiedziała prawdę. Piękny charakter. Jak... jak u Jagiełty!



- Jak to? - Marcel nie był zadowolony z zakończenia historii. - Reszta się nie przyznała?

- Owszem, ale później. I dlatego, że dzięki profesorowi Mroczkowi nikt nie został ukarany.

- Babcia miała lwie serce! - powiedziałam.

- Prawda? - westchnął dziadek. - Jak to dobrze, że była.

- I że była moją babcią! - zawołałam. - Czy to jest pióro, którym pisał Gromiśław Gromek?

- Nie. To pióro, które podarował Kasi Jagiełto, kiedy rok później naprawdę odchodził na emeryturę. „Pamiętaj! Tak naprawdę w życiu nic nie znika” - powiedział.

Kocham mojego dziadka.

Kocham moją babcie, chociaż już jej nie ma.

ROZDZIAŁ ÓSMY

Przyszedł tata Marcela i przyniósł to radio, które Marcel starannie wyczyścił.

- Polutowałem to i owo - oświadczył. - Egzemplarz w doskonałym stanie. Świetny dźwięk!

Dziadek był wniebowzięty.

- Dziękuję! Mam jeszcze kilka urządzeń, może pan spojrzy...?

A potem zniknął na zapleczu i przyniósł stamtąd lampę naftową, starą maszynę do szycia, maszynę liczącą oraz gramofon z trąbą.

- Ileż pan ma skarbów! - ucieszył się nasz sąsiad.

- Ciekawe, czy da się je naprawić - rzekł zamyślony dziadek.

- Na pewno. - Tata Marcela już grzebał w gramofonie. - Kiedyś robiono porządne urządzenia. Służyły latami. Nie to, co teraz...

- A wie pan co? Mam pewien pomysł. Gdyby pan zechciał się przyjrzeć tej mojej kolekcji maszyn, to moglibyśmy założyć takie małe muzeum sprzętów dawnych.

- Znakomita myśl! - odparł uradowany tata Marcela. - A ja, sąsiedzie, dołączę do tego zbioru naszą kolekcję odbiorników radiowych. Jeśli mój

syn się zgodzi, oczywiście. Pewnie też by chciał, żeby znalazła się w muzeum.

A wtedy tacie Marcela podjechała do góry lewa nogawka spodni. I zauważyłam, że ma sztuczną nogę. Sąsiad pochwycił moje spojrzenie. Musiałam zrobić dziwną minę, bo uśmiechnął się smutno i powiedział:

- No tak, to pamiątka po wypadku samochodowym. Ja straciłem tylko nogę... ale nie wszyscy mieli tyle szczęścia.

Dziadek poklepał go po ramieniu.

- Ważne, że ma pan syna. A syn pana. Z nogą czy bez, to nieważne. Cieszę się, że zostaliśmy sąsiadami, bo mamy sporo wspólnych zainteresowań, chociaż na pierwszy rzut oka nic na to nie wskazywało. Pan siedzi w kablach, ja w porcelanie.

- Ale obaj lubimy starocie.

No kto by pomyślał! Kiedy poznałam tatę Marcela, wzięłam go za straszne mruka. A teraz wygląda na to, że zaprzyjaźnił się z dziadkiem.

Nagle zatęskniłam za rodzicami. Nie chciałam o tym mówić dziadkowi Witkowi (jeszcze by pomyślał, że mi u niego źle), więc potajemnie zadzwoniłam przez Skype'a.

Nie odebrali. Najwyraźniej byli zajęci małą Kasią. I znowu zrobiło mi się smutno. Do urodzin zostały tylko dwa dni.

- Czemu tak tu siedzisz z nosem na kwintę? - Dziadek zajrzał do mojego pokoju przez uchylone drzwi.

- Wiesz, dziadku, czasami wydaje mi się, że nikt mnie nie rozumie.

- No popatrz - odparł z uśmiechem. - Mnie też się czasem tak wydaje. Bywają dni, kiedy sądzimy, że jesteśmy sami z naszą tęsknotą.



- Jak Mały Książę na dalekiej planecie – odpowiedziałam.
- Otóż to! Myślimy, że od innych ludzi dzieli nas całe lata świetlne. Ale tak nie jest. Czujemy to samo i możemy się porozumieć. Tylko trzeba się postarać. Przytuliłam się do niego.
- Otworzymy szóstą puszkę? – zapytałam.
- Podreptaliśmy do komnaty wspomnień. Dziadek podał mi metalowe pudełko oznaczone cyfrą sześć. Najpierw uznałam, że nic w nim nie ma, bo było bardzo lekkie, ale gdy zdjęłam wieczko, zobaczyłam zaklejoną kopertę.
- Co to takiego? – spytałam.
- Otwórz, to się przekonasz. – Dziadek uśmiechnął się tajemniczo. Rozdarłam kopertę i zaczęłam czytać.



26 lipca 1986 roku

Cześć!

Właściwie nie wiem, jak zacząć, bo wcale się nie znamy. Jeszcze! Ciekawe, czy jesteś dziewczyną czy chłopakiem, i ile masz lat, kiedy to czytasz. Ja mam na imię Marianna, ale w klasie nazywają mnie Kobra. To przez okrągłe okulary. Już wiesz, kim jestem? Znasz mnie! Na wszelki wypadek jednak się przedstawię. To ja, Marianna, córka Witolda i Katarzyny, siostra Ewy. Siedzę sobie na parapecie w moim pokoju i piszę ten list, bo na całym świecie nie ma nikogo, kto by mnie zrozumiał.



Tak! Moi rodzice zajęci są tylko Ewką – Ewka to, Ewka tamto, słicznie narysowała misia albo złapała w przedszkolu wszy. Będę z Tobą szczerą: siostra daje mi strasznie w kość. Na szczęście właśnie zasnęła, więc mam chwilę spokoju i tak mi przyszło do głowy, że do Ciebie napiszę, bo muszę to komuś powiedzieć. Moje życie było lepsze, kiedy byłam jedynaczką. Dawniej mama miała dla mnie czas, a teraz? Kiedy ja zostanę Twoją mamą – a w chwili gdy czytasz ten list, już nią jestem – ciągle będę z Tobą robić różne fajne rzeczy. Obiecuję! Całusy!

Marianna, lat 11 – Twoja kiedyś tam mama



Skończyłam czytać list. Z emocji aż dostałam wypieków.

- Mama napisała do mnie, kiedy miała jedenaście lat?
- Jak widzisz. Ten list czekał tu na ciebie przez całe lata! – odparł dziadek.
- Tylko... wynika z niego, że mama nie lubiła swojej młodszej siostry.
- No bo mała Ewka przewróciła jej świat do góry nogami. Dopiero gdy obie trochę podrosły, zaczęły się dogadywać.
- A teraz nie mogą bez siebie żyć! – zauważyłam. – Są najlepszymi przyjaciółkami!
- Tak, twoja mama zawsze powtarza, że ma dwie najwspanialsze przyjaciółki na świecie.
- Dwie?
- No dwie, Ewę i ciebie!

- Och, jak mi się zrobiło przyjemnie! Jeszcze raz przeczytałam list.
- Biedna mama – westchnęłam. – Na początku musiało być jej trudno.
 - Pewnie było. Wszyscy mamy w życiu lepsze i gorsze chwile. Ale każdy ciężar staje się lżejszy, gdy można go z kimś nieść.
 - Na przykład z przyjacielem. Albo z siostrą... – powiedziałam.
 - Albo z wnuczką. Nawet nie wiesz, jak się cieszę, że przyjechałaś do tej mojej wilczej samotni – szepnął dziadek i mocno mnie przytulił.
- A ja znów poczułam ciepło rozlewające się wokół serca.



ROZDZIAŁ DZIEWIĄTY

W dniu moich jedenastych urodzin obudziłam się w takim sobie humorze. Zgoda: historie rodzinnych pamiątek były całkiem fajne. Siedzenie z Marcelem w domku na drzewie – również. I wyprawy rowerowe z dziadkiem. Ale wiedziałam, że przyjęcia urodzinowego nie będzie. W dodatku wszystko wskazywało na to, że dziadek Witek zapomniał, jaki dziś dzień!

Spojrzałam na budzik. Dochodziła jedenasta, a to znaczyło, że spałam dwie godziny dłużej niż zwykle! Nikt mnie nie obudził! Nawet Biskopt, który miał w zwyczaju wpadać rano do mojej sypialni i lizać mnie w nos.

„Co tu się dzieje?” – pomyślałam.

– Dziadku! – zawołałam, ale odpowiedziała mi cisza.

Weszłam do dużego pokoju. A potem do sypialni dziadka Witka. Dom był pusty. Bardzo mi się to wszystko nie podobało. Rozżalona powlokłam się do kuchni i wtedy usłyszałam za plecami:

– Cześć! Wszystkiego najlepszego!

Marcel stał w progu. Wystrojony jak na początek roku szkolnego.

– Przestraszyłeś mnie – burknęłam.

– Już bez przesady. Proszę, to dla ciebie! – I podał mi ogromną wiązaną

hortensji ze swojego ogródka. To był pierwszy bukiet, jaki dostałam. W całym życiu!

Sięgnęłam po wazon i nagle zauważyłam leżącą na stole niebieską kopertę z napisem: „Gabrysia”.

– Ciekawe, co to takiego! – Marcel uśmiechnął się, jakby znał zawartość koperty. – Otwórz!

Gdy to zrobiłam, zobaczyłam wiadomość.

Gabrysiu!

Z okazji Twoich jedenastych urodzin mamy dla Ciebie prezent. A nawet kilka prezentów. Żeby się dowiedzieć, co wymyśliśmy, musisz pójść do pokoju dziadka i zajrzeć pod łóżko!

Razem z Marcelem pobiegłam do sypialni dziadka. Pod łóżkiem leżała hulajnoga.

– Ale super! – zawołałam i od razu chciałam ją wypróbować.

– Czekaj, to nie wszystko – powstrzymał mnie Marcel. – Coś tu jeszcze leży! No i faktycznie. Wyciągnęłam spod łóżka drugą kopertę.

Teraz idź na strych i zajrzyj do szafki na buty.

Chyba nikt nigdy nie wbiegał tak szybko po schodach jak my. Znaleźliśmy się na strychu w okamgnieniu. W szafce zobaczyliśmy pudełko, a w nim... zestaw pędzli malarskich! Oraz kartkę.

Żebyś nie musiała pożyczać od taty pędzli, kiedy będziecie znowu przemalowywać meble! Teraz idź do swojego pokoju i zajrzyj do walizki.

Zbiegliśmy po trzy stopnie naraz... cud, żeśmy nie spadli ze schodów! Na dnie walizki leżało zawiniątko. Gdy rozwinęłam papier, moim oczom ukazały się...

Różowe bojówki! Rety! To na pewno od ciotki Ewy! Miała takie same! Obiecywała, że kiedyś uszyje mi podobne!

Oczywiście natychmiast je włożyłam. A w tylnej kieszeni spodni znalazłam następną kartkę. Tym razem pobiegliśmy do antykwariatu, gdzie czekała na mnie planszówka. Potem wróciliśmy na strych i znowu do sypialni... Dziesięć prezentów! Oprócz hulajnogi, pędzli, bojówek i planszówki dostałam książki, plecak, lampkę do roweru i wreszcie, w ostatniej paczce, którą ukryto w jednej z kuchennych szafek...

- Stara puszka! - zdziwiłam się. - Z cyfrą siedem!

W środku nie było żadnego prezentu, tylko polecenie, żeby iść do komnaty wspomnień.

Czułam, że czeka tam na mnie coś specjalnego. I nie pomyliłam się. Gdy tylko uchyliłam drzwi...

- Sto lat, sto lat niech żyje, żyje nam! - zaśpiewało kilka głosów: dość fałszywie, ale radośnie.

W komnacie wspomnień znajdowała się moja rodzina! No, nie cała. Nie było mamy. I małej Kasi. Ale byli dziadek, tata, ciocia Ewa z narzeczonym Lelkiem, a nawet sąsiad: tata Marcela. Tak, on też tam był, to od niego dostałam lampkę do roweru.

Ze szczęścia aż chciało mi się płakać.

- Myślałam, że nie przyjdziecie! To najpiękniejszy prezent!

- Ciągle jeszcze nie cały. - Tata uśmiechnął się podstępnie. - Tak, wiem, to robi się nudne. Ostatni kawałek prezentu czeka na ciebie w ogrodzie, przy domku na drzewie.

Od razu wiedziałam, co to za niespodzianka. Nie musieli mówić!

Mama siedziała pod drzewem i karmiła bobasa.

- Mamusiu! - Rzuciłam się w jej stronę i zrobiłam to tak niezdarnie, że od razu się wywaliłam. No i zielone plamy z trawy zaraz wykwitły na różowych bojówkach.

- Tylko się nie zabij - powiedziała mama i ostrożnie odłożyła do wózka Kasię. Moją siostrę.

Przez dłuższą chwilę patrzyłam na nią w milczeniu.

- Podoba ci się? - spytała mama.

- No nie wiem... - powiedziałam szczerze. - Jest taka... nie wiadomo jaka.

- Jeszcze będzie fajna, zobaczysz. - Mama się uśmiechnęła, a potem przytuliła mnie z całej siły.

Później wynieśliśmy do ogrodu krzesła i stół. I jedliśmy jagodzianki. I żelki. Był też tort upieczony przez dziadka. Lelek, narzeczony ciotki Ewy, robił zdjęcia, a tata Marcela grał na gitarze. Okazało się, że bardzo ładnie śpiewa. Mała Kasia spała sobie spokojnie w wózku. Moje najlepsze w życiu, jedenaste urodziny trwały aż do zmroku. W pewnej chwili wśród floksów zamajaczyła mi znajoma postać. Babcia Kasia? Nie, pewnie mi się zdawało. Ale kiedy spojrzałam na dziadka Witka, zrozumiałam, że nie tylko mnie.



- Szkoda, że już wyjeżdżasz - powiedział Marcel.

- Przecież przyjadę - pocieszyłam go. - Na pewno na Święto Zmarłych, a może i wcześniej. Wiesz co? - Coś przyszło mi nagle do głowy. - Może ty byś przyjechał do nas! W nowym mieszkaniu mamy pokój gościnny.

- Bardzo bym chciał, ale nie wiem, czy tata mnie puści.

- Poprosimy dziadka, na pewno go jakoś przekona, jest w tym dobry!

- To były świetne wakacje - westchnął Marcel.

- Tak. - Pokiwałam głową.

Sama się zdziwiłam, ale to najprawdziwsza prawda. Podobała mi się komnata wspomnień. I historie rodzinnych pamiątek. Cieszyłam się, że poznałam Marcela. I że dziadek znowu był taki jak kiedyś.

- Mam dla ciebie propozycję, Gabrysiu - oznajmił, gdy już skończyłam pakować walizkę.

- Jaka?

- Schowaj do siódmej puszki jakąś pamiątkę z tych wakacji. Na pewno masz coś takiego, co zmieści się w pudełku po herbacie. Przechowamy je w komnacie wspomnień i może kiedyś zechcesz znowu do niego zajrzeć. Ty albo ktoś inny.

„Jaki fajny pomysł” - pomyślałam. I schowałam do puszki kamyk w kształcie serduszka.



KONIEC



Postowie

Mam nadzieję, że nie znudziły Was losy pamiątek rodzinnych Gabrysi? Wszystkie opisane przeze mnie historie są prawdziwe – tylko troszeczkę je na potrzeby tej książki zmieniałam. Przydarzyły się moim krewnym, przyjaciołom albo zupełnie nieznanym mi osobom. Jestem pewna, że jeśli popytacie swoich dziadków i babcie o dzieje różnych trzymanyh w domu przedmiotów, usłyszycie wiele ciekawych opowieści. I może zechcecie je spisać?

Autorka



SPIS TREŚCI

Rozdział pierwszy ... 7

Rozdział drugi ... 18

Historia krzyżyka z Olszynki ... 23

Rozdział trzeci ... 27

Historia starego telefonu ... 35

Rozdział czwarty ... 40

**Z pamiętnika praprababci, czyli historia
pierścionka wielkiej damy ... 42**

Rozdział piąty ... 51

Historia srebrnego zegarka ... 55

Rozdział szósty ... 63

Historia akwarelowego obrazka ... 68

Rozdział siódmy ... 75

Historia wiecznego pióra ... 80

Rozdział ósmy ... 86

Rozdział dziewiąty ... 94

Postowie ... 102

Ilustracje:
Emilia Dziubak

Redakcja:
Katarzyna Humeniuk

Opracowanie graficzne:
Dorota Nowacka

© Copyright
Instytut Książki, 2023

ISBN:
978-83-967714-3-8

Druk i oprawa:
Drukarnia Dimograf sp. z o.o.

Publikacja została wydana
przez Instytut Książki.
Dofinansowano ze środków
Ministra Kultury i Dziedzictwa
Narodowego w ramach zadania
„Mała książka - wielki człowiek”.
Egzemplarz bezpłatny,
nie do sprzedaży

